

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odnośnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 1/2 mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek po 50 fenigów za stronę.

Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12,  
Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66.  
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń  
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

# ŚWIAT

Rok XII. № 48 z dnia 1 grudnia 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

**BRACIA JABŁKOWSCY** BRACKA 25

POLECA:

WEŁNY,  
DAWEŁNY,  
JEDWABIE,

BIELIZNĘ I GALANTERJĘ:

DAMSKA,  
MĘSKA,  
DZIECIĘCA.

WYPRAWY SŁUBNE od 1000 MK.

OKRYCIA  
BEKIESZE  
KOSTYMY  
SUKNIE  
BLUZKI

SUKIENKI DLA PANIENEK - UPRANKA DLA CHŁOPCÓW - BEKIESZE I PALOTY DLA PANÓW

OBUWIE:  
DAMSKIE I  
DZIECIĘCE.

10431

## Po dziesięciu latach.

(Ideologia Wyspiańskiego a nowa Polska).

W szóstym tomie swej „Historji literatury polskiej” pomieścił Stanisław Tarnowski takie słowa o Wyspiańskim: „Talent — może nawet niepośledni, objawiający się tu i owdzie ładnym wierszem lub ustępem, ale zawsze drugorzędny, naśladowczy, wyrzucony z równowagi przez niespokojną wyobraźnię, a doprowadzony do fałszywego pojmowania siebie i poezji przez zewnętrzne wpływy i przykłady. Sam nie miał dość silnego umysłu, ani dość artystycznej natury, żeby popędy czy pomysły swojej wyobraźni kierować i wyrabiać; ona ciągle coś niespokojnie i bezładnie snuła, a on ten niepokój i bezład brał za twórczość... Gonitwa za oryginalnością, silenie się na oryginalność — (bez jej zasobu w duszy, w umyśle i w talencie) — wydały rozkład formy; wiara w nieomyślność własnego geniuszu i jego natchnień wydała rozkład myśli”.

Słowa te padły i zostały przekazane potomności w tym samym roku 1907, w którym Stanisław Tarnowski odprowadzał w pontyfikaljach rek-

torskich zwłok Wyspiańskiego na Skalkę. Gdy jednak za rzekomy „rozkład myśli” i „rozkład formy” uczczono nieszczęsnego poetę największym hołdem, jaki naród miał dla swych wybrańców, rozpoczęła się dla Wyspiańskiego droga tryumfu w społeczeństwie, której nie dano ani Krasińskiemu, ani Słowackiemu, ani Norwidowi. Rzucono się tłumnie na książki Wyspiańskiego, sprzedawane w pierwszych latach po zgonie poety po dwadzieścia tysięcy egzemplarzy rocznie. Warszawa, pomimo ciężkich warunków cenzuralnych, ujrzała na scenie: „Warszawiankę”, „Klątwę”, „Sędziów”, „Wesele”, „Noc listopadową”, „Bolesława Śmiałego”, fragment „Barbary”, „Cyda” i „Wyzwolenie”. Jednocześnie krytycy i komentatorowie różnych gatunków i obozów wygłaszały zgodnie hymny pochwalne dla wielkiego poety. Jeżeli tę harmonję uwielbienia zamącił nagle taki zgrzyt, jak głośne „rozmowy literackie o laurach Wyspiańskiego”, napisane przez Weys-

hoffa, to sława autora „Wesela” jeszcze się wzmożła po dyskusjach i polemikach, które stąd powstały. Weyszenhoff zresztą rozwijał tylko w innej formie założenia Tarnowskiego, gdy mówił, że „indywidualność Wyspiańskiego zawiera się przedewszystkiem w obfitości wielkich i niedojrzałych projektów, do których przystępuje z ogromnym temperamentem, z bezgranicznym zaufaniem w swą moc i nieomyślność”. To też pokolenie entuzjastycznych apologetów przeszło do porządku nad złudzeniem Weyszenhoffa, gdy przyrzekał „zracjonalizować kult szeroko już rozpowszechniony, aby się przyczynić do przywrócenia ładu i równowagi we współczesnych pojęciach o literaturze”. Krytyka nasza stanęła wobec Wyspiańskiego na tem stanowisku, jakie jej przechowała stara polska tradycja: dokonywano przekładu utworów poetyckich na prozę, z prozy tej wydobywano subiektywną kwintesencję i takim wynikiem operowano dość szeroko, budując nauki narodowe, kształtując świątynie cnót obywatelskich. W przeciagu całego ubiegłego dziesięciolecia niezmiernie mało znajdujemy prac, któreby rozważały formalną stronę poezji Wyspiańskiego, któreby uwydatniły i analizowały piękno jego sztuki, istotę jego obrazów, technikę jego dramatów, cały ogromny

gmach jego konstrukcji artystycznych. Szukając w poezji dydaktykę narodowej i wieszczona, komentatorowie punkt ciężkości w swych pracach przenieśli do wyjaśnienia genezy ideologii Wyspiańskiego. Najwdzięczniejsze zadanie znajdowano wówczas, gdy płynna, nieuchwytna, nieokreślona myśl poety nie miała jeszcze siły całkowitej. Ulegano przytem dość szczegółalnemu złudzeniu: ogromem własnej pracy, w analizę włożonej, mierzono wielkość zbawczych idei poety. W dziełach twórczości poetyckiej szukano traktatów o sumieniu narodowym i drogach świadomości polskiej. A że przytem każdy z komentatorów tworzył sobie kształty ideologii Wyspiańskiego na obraz i podobieństwo własnej myśli, więc otrzymaliśmy i różnorodność tych kształtów i coraz mocniejsze zapominanie o *artystycznej* stronie twórczości Wyspiańskiego.

Wynik wojny europejskiej, która z potoków krwi całego świata wydobyc ma nową, wskrzeszoną Polskę, zmieni niewątpliwie stosunek naszej krytyki do Wyspiańskiego. Odsunie nas przedewszystkiem od *potrzeby* rozważania jego ideologii, sprowadzi tę ideologię do jej właściwych, skromnych w gruncie rzeczy rozmiarów, a natomiast skieruje krytyków do uwypokolenia poetyckiej fizjonomii twórcy „Akropolisu“. Przestaniemy się bawić w odgadywanie patriotycznych szarad niektórych utworów Wyspiańskiego. Spójrzmy również nieco spokojniej na istotę jego wskazań. Przekonamy się wówczas, że nie wszystkie jego tezy, dotyczące życia narodowego, są słuszne. Już dziś np. stają nam się jasne pewne błędne twierdzenia, któremi zboleła dusza poety oszałamiała całe pokolenie.

Gdybyśmy ideologię Wyspiańskiego streścić chcieli jaknajwięcej, to możemy zamknąć ją w takich słowach: cały wiek porozbiorowy żyliśmy rozpamiętywaniem przeszłości; przebywaliśmy w grobach, badaliśmy umarłym „w trzewach skórną tajemnicę“ a „w ciągłych łzach i płaczach“ pleśnieliśmy; czas na budowanie „Polski żywej!“ We wszystkich utworach Wyspiańskiego o podkładzie narodowym snują się niedopowiedziane myśli, zarysy historjografii narodowej, niedokształcone wskazania związane z powyżej wyrażoną ideologią centralną jego wszystkich pomysłów twórczych. Skrzętni komentatorowie wyjaśnili

nam w sposób dostatecznie przekonujący, że zarysy tej ideologii przejął Wyspiański od Szujskiego\*), który zwracał uwagę na to, jak w nieszczęśliwej dolę narodu nasze badania przeszłości „wychodzą czasem na *grabarskie zatrudnienie*“.

Czy istotnie były to tylko „grabarskie zatrudnienia“? Czy, stojąc na rubieży nowego życia polskiego, mamy sobie wyrzucać, żeśmy się „rozmiłowali w tych „przegniłych trupach“ ojców i dziadów, żeśmy brali „te trupy piszczele za godło“?

Są niezawodne już dziś znaki, że jeżeli Wyspiański, który atakował romantyzm środkami romantycznymi i sam zresztą przez cały żywot twórczy przebywał w „grobach“, — przyniósł głos pokolenia, gdy się dopominał o „żywą Polskę“, to jednak nie swoim przemawiał głosem, gdy chciał nas odsunąć od rozpamiętywania przeszłości i odżywiania się tą przeszłością. Pomijamy już przesadę zapewnienia, żeśmy zawiele z tą przeszłością obcowali, bo raczej oskarżać nas można o zupełną jej niezajomość. Ale czemuż by było nasze życie bez tych świętych *grobow*?

Jest rzeczą wysoce znamienne (a nie dość jeszcze podkreśloną), że w chwili, gdy wojna zapowiada oczekiwaną przez kilka pokoleń realizację „żywej Polski“, otrzymaliśmy trzy ciekawe prace, poświęcone apologii naszych „grobow“, naszej przeszłości historycznej. Artur Górski zastanawia się nad tem, „Ku czemu Polska szła?“<sup>1)</sup> i za niedokończoną jeszcze pracę otrzymuje nagrodę z Kasy Mianowskiego; Stanisław Przybyszewski, idąc „Szlakiem duszy polskiej“<sup>2)</sup>, uczuwa w sobie radośną dumę, gdy spogląda na „najgłębsze pokłady“ tej duszy; wreszcie Antoni Chołmiewski wywołuje coraz żywszą i rozleglejszą dyskusję swą płomienną, pełną żaru patriotycznego książką o „Duchu dziejów Polski“<sup>3)</sup>. A wszyscy trzej nietylko są przedstawicielami tego samego poko-

\*) Patrz pracę K. Wóycickiego „Wyspiański i Szujski“.

<sup>1)</sup> Artur Górski „Godło“, 2 tomy 1915—1916. Warszawa.

<sup>2)</sup> Stanisław Przybyszewski „Szlakiem duszy polskiej“. Poznań. Nakładem „Ostoja“, 1917.

<sup>3)</sup> Antoni Chołmiewski „Duch dziejów Polski“. Kraków. 1917.

lenia, do którego Wyspiański należał, ale są kolegami i towarzyszami autora „Wesela“ z epoki tworzenia „Młodej Polski“. Ten sam Artur Górski, który niegdyś, w r. 1901 rzucał z rozpaczą o ziemię książkę, noszącą tytuł „Historja Polski“, woła dziś poważnie: „Trzeba z Polską żyć, żyć od jej początków przedwiekowych — i umrzeć — i żywcem rozmyślać w grobie — i znaleźć w sobie słowa zmartwychwstania — aby odrodzić się znów i zmartwychwstać. Każde pokolenie musi tę Pasię polską przebyć i samo za siebie dać odpowiedź. ...Aby dziś Polskę zobaczyć, trzeba patrzeć innemj oczyma, odsłaniać jej twarz zasłoniętą, jej piękność wewnętrzną. Trzeba jasnowidztwa przenikliwego, które widzi ukryte pod ziemią skarby, a ponad nią wysokie gwiazdy przeznaczenia. Trzeba podpatrzeć tajemnice samego geniuszu rasy, jego odmienność stylu w życiu zbiorowym, w charakterze moralnym, w dziejach, w sztuce, słowem jego twórcze *noumenon*, które narody przynoszą z sobą i rozwijają stopniowo z nieustępliwą koniecznością wewnętrzną“. Z takich właśnie szczytów obejmuje Górski horyzont dziejów Polski i stoi zasluchany zbożnie „w rozmowę wieków“, wskazuje, jak wspaniałym był właśnie „styl polskiej budowy życia“, którą nam historyczna szkoła krakowska tak jednostronnie oświećlała. Ten przedni zarys dziejów kultury polskiej będzie niewątpliwie jednym z najpiękniejszych hołdów, jakie nasze pokolenie złożyło przed ołtarzami narodowej przeszłości.

Przybyszewski rzuca na dzieje kultury ojczystej jedno tylko miłośne spojrzenie; daleki jest od długich i skrzętnych rozważań Górskiego. Ale i w nim, po przez upojenie frazesem, dostrzeżemy wyraz najszczerzego podziwu dla zasadniczych cech rasy; i on dojrzy, że „ciągłość rozwoju duszy polskiej od Kochanowskiego do Mickiewicza, do współczesnego nam Kasprowicza, nieczem przerwana nie została“; i jego olśni tej duszy „żarliwość i głębia skupienia, bohaterska powaga i wielkopańska niezawistość, pokora (istotne kryterjum głębi duszy), współczujące wnikanie w świat zewnętrzny i najwięcej zespolone z nim współzycie, a równocześnie dumne poczucie swej wolności, nie wkraczające w obręb praw żadnej innej“.



Obozowisko wojsk niemieckich w górach.

A głos trzeciego wielbiciela przeszłości, A. Chołoniewskiego wyrywa się już wprost z odmętu wielkiej zawieruchy i brzmi rewelacyjnie: „Do wrót historii, robionej zwałami trupów, pożoga i nienawiścią zniszczenia, zapukała tęsknota za nowym porządkiem rzeczy, w którym człowiek, w pełni swych praw przyrodzonych, mógłby oddychać wolną pierśią, w którym obowiązywałyby wzajemna tolerancja wierzeń i przekonań, w którym nikt nie mógłby cierpieć za to, czem jest i co miłuje, w którym każdej indywidualnej i zbiorowej jednostce zapewnione byłoby prawo nieskrępowanego rozwoju, w którym narody mogłyby żyć obok siebie w przyjaznym, bratnim związku, w którym nie pięść rozkazywałyby, lecz siła moralna. Wielkie ideały wstrząsnęły łonem społeczności europejskiej. Ależ to ideały nasze!!! Te, które za dni naszego państwowego bytu stanowiły treść naszych urządzeń publicznych, a które wroga ide-

ologia obca i rozpacz własna potępiły jako dowód nieudolności, jako błąd nieprzystosowania się do ducha czasu. To, za co walczyliśmy, cierpieli i ginęli“.

I cała książeczka jest historycznym potwierdzeniem faktu, że „Polska była wielką rzeczą, że instytucje i idee, jakie rozwinęła w swem długim życiu a które wybiły na niej tak odrębne charakterystyczne piętno, oparte były na niewspółcześnie śmiałych i wzniosłych koncepcjach dziejowych, które w istotnej treści swej zachowały dotąd niezniszczalną wartość“.

Tak się odzywa sumienie pokolenia na progu nowej Polski. Refleksje o „zatrudnieniu grabarskiem“ przejdą do historii naszej niewoli. Do tej historii przechodzą już dzisiaj, we mgłach poetyckich marzeń rozwiana ideologia Wyspiańskiego o niebezpieczeństwie obcowania z grobami. Ideologię tę wydała właśnie nie tyle wiara w konieczność „żywej Polski“,

ile tragiczne o tej konieczności wątpienie, ile rozpacz wielkiego serca, że się *zbyt długo* wśród grobów pleśnieje. Przystanie już oddziaływać suggestja tej ideologii, którą się upajano poprzez czary poezji Wyspiańskiego. Komentatorowie stracą niejedną sposobność do nowych odkryć i domysłów. „co Wyspiański chciał przez to powiedzieć“. Ale nadchodzi chwila, że rozpocznie się, rozpocząć się musi głębsze rozważanie *sztuki* poetyckiej Wyspiańskiego. Wtedy dopiero stanie się to, co zapowiadał, wtedy dopiero „sprzykrzy mu się leżeć“ — „rozburzy dom ten, gdzie się mieści i — w słońce pocznie biec...“

Jan Lorentowicz.

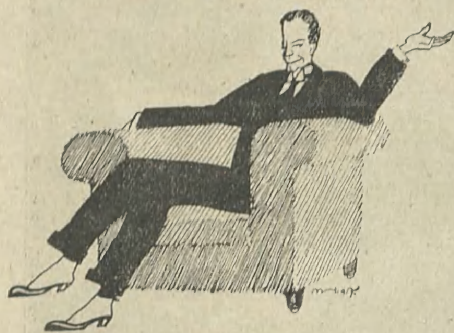


# Pracowity dzień snoba.

Ilustracje W. K. Henneberga.

Jestem snobem!

Nie wstydzę się, ani też nie chełpię; nie martwię się, ani nie cieszę zbytnio, bo snobizm uważam za taką samą zawód, jak każdy inny.



Jestem snobem.

Bywają doktorzy medycyny, prawa, filozofii, gotów jestem na mojej karcie wizytowej dodać tytuł doktora snobizmu, a nawet przyjąć katedrę snobizmu na uniwersytecie.

Potępięczy głos ogółu nie przstraszy mnie. A kto z was nie jest snobem, niech we mnie rzuci kawałkiem węgla, zostanę wtedy składnikiem i niezawodnie zmienię zawód!

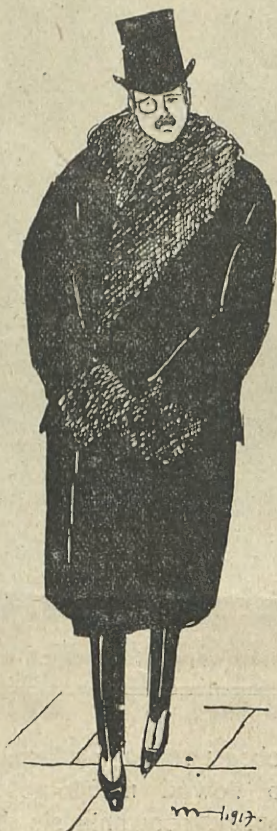
Lecz taka jest różnica pomiędzy wami a mną, że wy snobizm uprawiacie po dyletancku, jesteście snobami potroszę i wypieracie się tego— ja zaś jestem snobem fachowym, wykwalifikowanym, snobem par excellence.

Żebyście jednak przestali gardzić snobizmem u innych, a także i u siebie, zrozumcie istotne znaczenie tego rzeczownika, który bywa przymiotnikiem.

Snobizm, to jest perpetuum mobile życia towarzyskiego i artystycznego każdego społeczeństwa.

Premjera w teatrze vernissage, nowa restauracja, czy kawiarnia, wszystko to jest dziełem snoba.

Snob nadaje ton tym wszystkim dziś modnym lokalom. Ale niech mu przyjdzie fantazja porzucić cukiernię, w której bywał codziennym gościem, dla innej, która może być znacznie gorszą, całą publiczność pójdzie za nim.



Snob jest królem i panem mody.

Snob chórzystkę prowincjonalnego teatru kreuje na primadonnę operetkową.

Snob idjotę lansuje, jako geniusza.

Snob jest królem i panem mody.



...wojna sobie, a my sobie.

Snob jest uśmiechem, grymasem i kaprysem swojej ojczyzny.

Jeżeli idzie o ojczyznę snoba, to dosyć trudno określić ją — snob jest kosmopolitą. Bowiem ubrania sprowadza z Londynu, perfumy i akcent z Paryża, bieliznę z Wiednia, kufry podróżne z Hamburga. kapelusze nosi włoskie. Jest więc od stóp do głowy kosmopolitą. Zważywszy, że snob warszawski nosi warszawskie obuwie, przyznać mu należy sporą dozę patriotyzmu.

Tak było przed wojną.

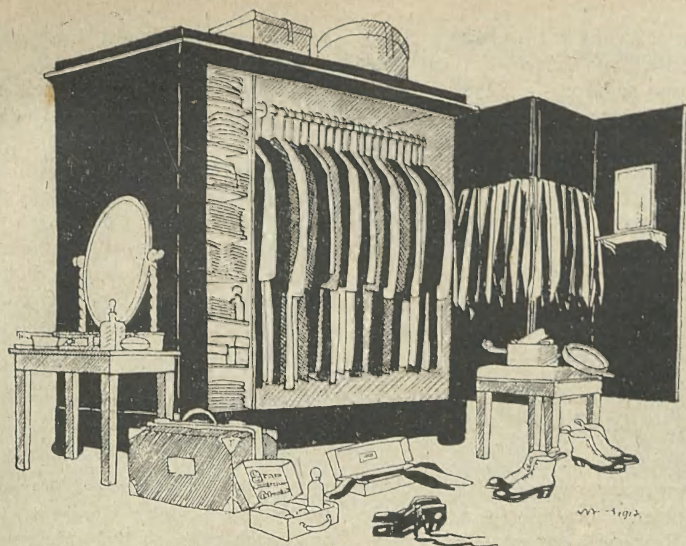


...nie bądź, snobie, podobnym do bliźniego twego paskarza..., który jest dopiero snobem przyszłości.



Snob, idjotę, lansuje, jako geniusza.

Niepokój, jaki wywołał ów kataklizm dziejowy, musiał się odbić i na snobizmie. Początkowo ucziwi snobów myśleli: wojna sobie, a my sobie, długo afera ta potrwać nie może. Ale z czasem wojna wydała się klęską snobizmowi. Niepodobna było uszu zatykać watą (choćby z tego względu, że wata w uszach jest czymś

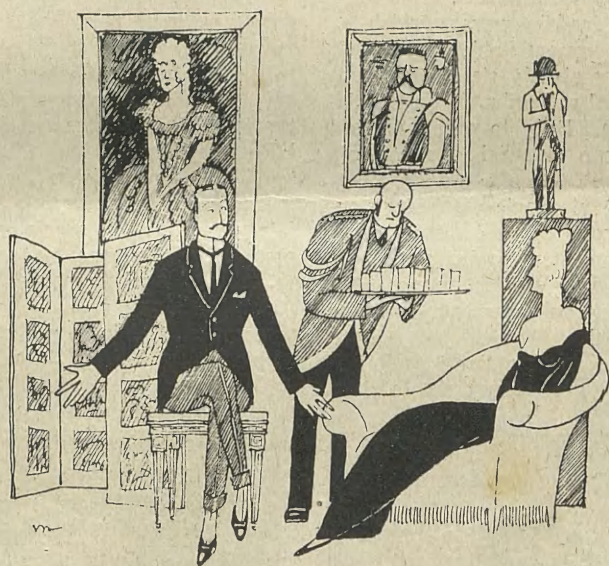


...spojrzał snob w otchłań jutra i swojej szafy.

bardzo nieestetycznym) i niepodobna było prowadzić tego samego sleeping-care, owego trybu życia. Więc cóż, zginać marnie? A czem by się stał świat bez snoba! Czy nie stanąłby sam w swoim biegu? Czy nie zamarzyłby z nudów?

Szanujący się snob zmniejszył ilość swojej służby i ciągle o tym opowiada.

Szanujący się snob nosi same nicowane ubrania, a jakże! I szanujący się snob nie kładzie innych bucików, jak z przyszwami.



Jestem nędzarzem.

Z odcieniem smętku spojrział snob w otchłań jutra i swojej szafy, w której wisiało dwadzieścia tegorocznych angielskich garniturów, kilkanaście pał i kilkadziesiąt krawatów, i wiele innych rzeczy made in London, New-York, Paris, Roma i t. d., i rzekł:

— Jestem nędzarzem.

Poczem poszedł na jour do pani X., która w swoim antycznym buduarze przyjmowała elitę snobów, i powiedział:

— Jestem nędzarzem.

Powiedzenie to stało się aktualnością. Skarga na własną nędzę, przyznawanie się do braku pieniędzy stało się modą, która trwa wyjątkowo długo.

Szanujący się snob nie uczęszcza do pierwszych rzędów w teatrze.

Zmienił się cały tryb życia, którego przykazaniem jest: nie bądź, snobie, podobnym do bliźniego twe-



...snob nosi same nicowane ubrania.

go paskarza..., który jest dopiero snobem przyszłości.

To uniepodobnianie się do paskarza ogromnie absorbuje snoba i zabiera wiele czasu, a że czas to pieniądz, więc snob staje się coraz uboższym i to na korzyść paskarza, czemu się mięt nie dziwi.



Niema snoba, któryby teraz nie marzył o karierze dyplomatycznej.

Resztę czasu snob poświęca innym ambicjom. Niema snoba, któryby teraz nie marzył o karierze dyplomatycznej, politycznej, a przynajmniej filantropijnej lub dziennikarskiej. Do polityki zabrał się zupełnie serio. Jest członkiem jednego ze stronnictw i bierze udział w dyskusjach u Lourse'a. Jest prezesem jednej ochronki. Zasiada we wszystkich komitetach. Obchodzi wszystkie obchody (co jest dowodem upodobań dyplomatycznych). Czytu-



Dyskusja u Lourse'a.

je polskie gazety (dawniej uznawał jedynie *Matin'a*, *Figaro* i *Times'a*). Wogóle jest szalenie uspołeczniony.

Posiedzenia, zebrania, komisje, sesje, zgromadzenia, akademje, wieczornice, jubileusze, jakże pracowity jest dzień snoba.

Z pewnem lekceważeniem odnosi się snob wojenny do tego snoba przedwojennego, mistrza nie w zakresie orientacji politycznej, ale — tanga.

H. Jel.

# AUGUST RODIN.

Umarł wielki rzeźbiarz francuski, który już za życia otrzymał uznanie, zgoła wyjątkowe w kraju, szczeniactwo się rzeźbą, prawie że greckiej dorównyującą.



August Rodin.

Rodin urodził się w 1840 r. Aż do roku sześćdziesiątego życia pracował, otoczony atmosferą obojętności i nawet lekceważenia.

Wprawdzie świętym rzeźbiarzem francuscy współcześni, jak Frémiet, Falguière, Mercier, Carls, Gérôme i inni, widzieli w nim

mistrza, ale czy to pochłonięci sztuką własną, czy to przez względy życiowej praktyczności, — milczeli.

Sprawiedliwości niebawem stało się zadość dzięki entuzjazmowi młodych.

Odtąd żył Rodin w gorącej atmosferze sławy i dobrobytu. Widziano w nim narodowego twórcę. Nawet państwowe go artystę. Urzędowe obstalunki jemu pierwszemu ofiarowywano. Co wytworzył, to skarb zakupywał do muzeów publicznych, strzegąc, aby nie zawładnęła temi arcydziełami spekulacja, aby nie porrywała ich zagranicą, zwłaszcza chciwa bogata Ameryka. Gdy rząd zagrabił dobra kościelne i wypędził zakony, dano Rodinowi starożytnie i w dziejach sztuki zanotowane opactwo Solesmes na pracownię. Tu pracował dalej mistrz, który nawet z postaci zwalistej, brody długiej, brwi krzaczastych madawał się na patriarchę. Pracę kochał i żył nią. Sztukę swoją starał się odświeżać niemal ustawicznie. Wpływ znamieny wywierał na młodszych artystów. Z jego szkoły wyszedł świetny Bourdelle, twórca projektu pomnika Mickiewicza.

Czas jakiś łączył Rodin, z oryginalnością niepospolita, wdzięk i grozę. To w swych pojedynczych fragmentach słynnego a nie wykonanego w całości dzieła: „Brama do piekła“.

Potem jednak poszedł w kierunku siły. Potem jeszcze poszukiwał wrażenia, na poły malarskiego, jeżeli nawet nie na poły mistycznego. I to go naprowadziło na drogę omyłek, bardzo sympatycznych zresztą i takich, które tylko genialni ludzie zwykli popełniać.

Z okresu siły przypomnijmy przede wszystkim znakomitą grupę „Mieszczanie z Calais“. Potem „Szatana“, pracę, w której przeciwstawił swoją koncepcję Złego znanemu dziełu Antokolskiego. Być może, iż obaj wielcy artyści natchnęli się pysznymi obrazami Leconte de Lisle. Ten szatan Rodina miał szczególną awanturę: zakupiony przez rząd, postawiony został przed frontonem Pantheonu paryskiego. Ale szatan na straży narodowego grobowca? Zbyt złośliwe ko-

mentarze nastęrczałoby to wrogom radykalizmu. Zmieniono więc — tytuł rzeźby. Zrobiono szatana — „Myślicielem“. Przypomnijmy jeszcze inne arcydzieło Rodina, bardzo popularne, „Pocałunek“ a jak chcą niektórzy „Adam i Ewa“, pełne głębokiego uczucia.

Najwięcej nowatorskim, ale też i najmniej szczęśliwym był Rodin tam, gdzie był skrepowany warunkami odtwarzania: w portretach, w pomnikach. Jego „Victor Hugo“ pozostanie świadectwem

wielkiej oryginalności i wielkiego nieporozumienia.

Pomysłowy krytyk Gsell, miał dobrą ideę poglądy artystyczne Rodina przelać na papier. Żył on przez jakiś czas bliżej z rzeźbiarzem i notował jego luźne rozmowy o sztuce. Potem oddzielił umiejętnie ziarno od plewy, wyrównywał sprzeczności, wiązał fragmenty i dał dzieło w wysokim stopniu interesujące.

Nieraz żałowałem, że nasz Chelmoński nie trafił na swojego Gsella. alb.

# LEOPOLD HOROWITZ.

Telegram najpierw, potem anons żałobny w Kurjerze przyniosły nam wieść smutną, że Horowitz zmarł.

Sztuką swą, znakomitemi portretami, który dużo u nas wykonał, należy i do naszej sztuki, tak jak Włoch Bacciarelli, Lampi, lub Grassi.

Przed laty mniej więcej czterdziestu, w epoce po powstaniowej, był on jedynym w Warszawie (prócz Simmlera, oczywiście) malarzem portretów w europejskim znaczeniu.

Jego pędzel uratował nam od zapomnienia niejedną postać; całe szeregi tych świetnych podobizn zdobią mieszkania zamożnych rodzin warszawskich.

Celował portretem kobiecym; piękne damy owoczesne cisnęły się do jego pracowni, którą miał w Zamku, — po Bacciarellim spuściznę. Były to czasy dopiero co poczynającego się wielkiego rozwoju sztuki naszej.

Dlatego też zjawienie się takiego artysty, jak Horowitz (około 1867 roku) stało się ewenementem w świecie sztuki. Przyjechał do nas z Węgier, poprzedzony już rozgłosem i sukcesami w Wiedniu, Peszcie i Berlinie.

Sztuka jego miała umiar i spokój ogromny. Nic tam się nie wyrывało zbyt-

nie, była porządna gospodarka malarska na tych płótnach. Kobiety, których tyle w owych czasach było pięknych w Warszawie (wybaczenie, urocze zjawiska o-becne), znalazły w nim świetnego ewokatora. Pędzel jego nie schlebiał zbytnio, oddawał istotę, treść portretowanego w sposób zgoła wyjątkowy. Nie odmładzał ale i starszym nie robił. Temu zawdzięczał wziętość i rozgłos niezwykły.

Czem był Winterhalter dla całej Europy lat sześćdziesiątych, i Francji Napoleona III-go, tem stał się Horowitz dla owoczesnej Warszawy.

Artysta przed laty mniej więcej dwudziestu opuścił nasz kraj, aby na stałe znów przenieść się do Wiednia, gdzie był bardzo lubianym. Cesarz Franciszek Józef wyróżniał Horowitza wśród wielu artystów Wiednia, wraz z Ajdukiewiczem i Pochwałskim.

Talent portrecistów, często bywa internacjonalną właściwością. Horowitz malując przez połowę swego życia jak Sargent lub Herkommer, gentry całego świata, też stał się kosmopolitą.

Nas łączy z jego imieniem dużo wspomnień. Sztuka nasza pracę jego dawno już oceniła i uznała w zupełności.

Wł. Wankie.



L. Horowitz.

Portret hr. Stadnickiej.



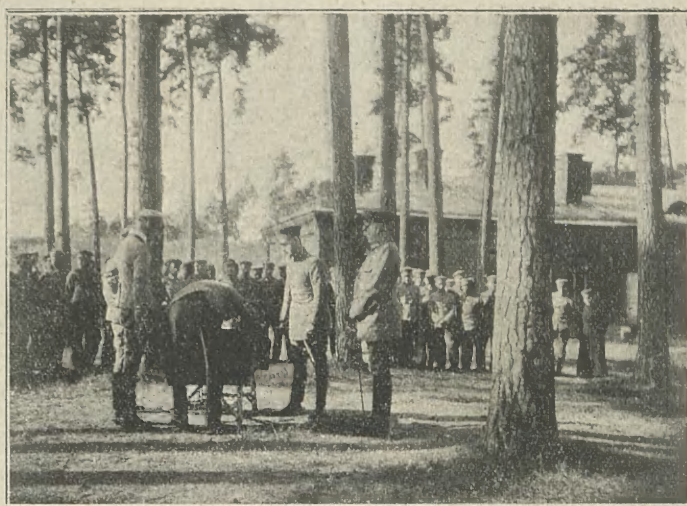
L. Horowitz.

Portret hr. Potockiej.

Obóz oficerów internowanych w Benjaminowie.



Ks. Ciepichoł, internowany, spełnia obowiązki kapelana obozu:  
Msza polowa.



Gen. von Massow przywozi odpowiedź gen. von Beselera na pe-  
tycję internowanych oficerów.



Grupa lekarzy w Benjaminowie z internowanych pułków.



Menza oficerska w Benjaminowie. Pogawędka przy obiadku.



Idylla w Benjaminowie: Ziemniaki pieką się na ognisku.



Ordynansi oficerscy w Benjaminowie.

# Studja nad historją i rozwojem stosunków polsko - węgierskich.

Powołany na stanowisko lektora języka węgierskiego, dr. Adorján Diveky od dłuższego czasu prowadzi owocne studja w zaniedbanej dotychczas dziedzinie stosunków polsko-węgierskich. Studja



Dr. A. Diveky.

swe prowadził dr. Diveky we wszystkich stołecznych miastach Polski; obecnie jako specjalny delegat ministerjum spraw zagranicznych ze strony Węgier, (ze strony Austrii—bawi w Warszawie profesor Dembiński) od siedmiu blisko

miesiący prowadzi poszukiwania we wszystkich archiwach i bibliotekach warszawskich.

Zagadnięty przezemnie o kierunek i rezultaty badań, dr. Diveky mówił:

„Historji ani rozwoju państwowego Węgier niepodobna poprostu zrozumieć i uzmysłwić sobie, jeżeli się nie zna historji i rozwoju państwowego Polski i odwrotnie, rozwój państwowy Polski w całej wyrazistości i jasności występuje dopiero na tle rozwoju stosunków prawnopaństwowych na Węgrzech. Struktura państwowa obydwóch narodów nosi na sobie wyraźne ślady wzajemnych daleko w przeszłość sięgających wpływów, niektóre urządzenia państwowe rozwijają się niemal analogicznie, inne są całkowicie przeniesione bądź z Węgier do Polski bądź też odwrotnie.

Ślady prawodawstwa państwowego, cywilnego, odnajdujemy w niezmienionej niemal formie przechowane w prawodawstwie litewskim i polskim.

Znany w Polsce i smutnej sławy wyraz „rokosz“ jest pochodzenia węgierskiego „rákos“ i oznacza w potocznym języku sejmy, szczególnie za Ludwika II-go burzliwe; prawo spadkowe w Polsce, według którego córka szlachcica dziedziczy czwartą część jego majątku, jest także pochodzenia węgierskiego, wyrażne również pochodzenie węgierskie zdadniają polskie ustawy górnicze, z wzajemnem przenikaniem się prądów spotykamy się wreszcie w sztuce i kulturze (renesans).

I nie jest to bynajmniej rzeczą dziwną ani przypadkową. Proszę, niech pan rzuci okiem na tablicę dynastyczną Polski i Węgier, niech pan nieco bliżej wglębi się w historję obydwóch narodów, wszak

te narody, te państwamiemal od zarania swego bytu państwowego w nieustannym pozostają ze sobą kontakcie, stosunki między niemi są ciągle żywe, świeże, zamierają dopiero po 63 r. by wkrótce ponownie się ożywić i nawiązać do świetnej dla obydwóch narodów tradycji.

A jednak pomimo tego kontaktu, nieustannej wymiany myśli, historja tych stosunków jest i przez Polaków i przez nas nieco zaniedbana.

Od szeregu lat w tej właśnie dziedzinie prowadzę badania i poszukiwania, obecnie studjuję archiwia warszawskie i bez przesady mogę powiedzieć, że znalazłem wprost skarby olbrzymie i całkowicie niemal nie wyzyskane, ba, nawet nie poruszone ręką węgierskiego badacza. Ot np. archiwum Komisji Skarbowej na Rymarskiej z fotograficzną niemal wiernością oddaje obraz handlowych polsko-węgierskich stosunków. Jak znacznych rozmiarów był ruch handlowy, dowodzi fakt, że w jednym tylko 1638 r. wwieziono z Węgier do Polski... 14,643 beczek wina węgierskiego. Jest to pozycja wprawdzie bardzo poważna, lecz nie jedyna w bilansie handlowym Polski i Węgier.

W tym również archiwum znalazłem materiały, dotyczące armji polskiej i węgierskiej za Stefana Batorego, nietylko spisy imienne zaciężnych Węgrów, lecz także wysokość pobieranego przez każdego z nich żołdu.

Archiwum Główne, w Metrykach koronnych przedstawia cenne materiały, odnoszące się do stosunków polsko-węgierskich od XV w., do Spizu, czasów Stefana Batorego, na którego dworze wielu przebywało Węgrów; z nazwiskami ich

spotykamy się często w aktach „Metryki koronnej“; mnóstwo rachunków dworskich, z nich najcenniejsze są osobiste rachunki królewicza Zygmunta (Zygmunt I), których węgierska część została swego czasu opublikowana; załować należy; że nie są one wydane w całości, stanowią bowiem cenny przyczynek do historji ówczesnej kultury.

Biblioteka Krasińskich posiada dokumenta i korespondencje z czasów pobytu Konfederacji Barskiej na Węgrzech w Komitacie Sáros; wspomnienia młodszego Fredry z czasów kampanji węgierskiej, wspomnienia te ilustrowane są własnoręcznymi jego rysunkami piórkowemi, oprócz tego rękopisu z XVI i XVII wieku, dotyczące stosunków Polski i Węgier.

Biblioteka Zamoyskich zawiera bogaty zbiór listów, pisanych po węgiersku, do Jana Zamoyskiego. Czy Zamoyski władał językiem węgierskim, powiedzieć mi trudno, przypuszczam jednak, że rozumiał ten język, w jego bowiem otoczeniu przebywało b. wielu Węgrów.

Mniej znacznie materiałów zawierają Biblioteka Uniwersytecka i archiwum Wojennego Okręgu Warszawskiego. Rosjanie dość starannie przebrali materiał i usunęli wszystkie niemal materiały z lat 1831, 1848—9, 1863. Są wprawdzie inne, lecz właśnie te, których szukałem, a szczególnie odnoszące się do wyprawy Paskiewicza na Węgry, zdają się być stracone.

Chodzi mi o sporządzenie inwentarza materiałów, o rodzaj katalogu dokumentów do historji stosunków polsko-węgierskich. (Przypuszczam, że oddam tem przysługę zarówno uczonym polskim, jak i węgierskim i zainteresuję szerszy ogół inteligentny obydwóch narodów“.

Na tem zamknął dr. Diveky rozmowę ze mną co do swych poszukiwań warszawskich. O ile mi jednak wiadomo, przygotowania przez dr. Diveky czynione wybiegają daleko poza tak skromnie zakreślone ramy pracy. W najbliższym już czasie ukaże się w polskim i węgierskim językach rozprawa dr. Diveky „O wpływach węgierskich w Polsce“ w dziedzinie prawa, kultury, sztuki etc., w przygotowaniu znajdują się materiały do „Historji handlu polsko-węgierskiego od najdawniejszych czasów“, „Znaczenie Krakowa dla historji kultury węgierskiej“. Materiały polskie do 1848—9 r. „Konfederacja Barska na Węgrzech“ i większa wreszcie praca p. t. „Zarys stosunków polsko-węgierskich w w. XIX“.

Jednem słowem, dr. Diveky podjął żmudną pracę odbudowania historycznych stosunków obydwóch narodów, nawiązania do bogatej wzajemnej tradycji, do której świetne pasmo współczesnej historji Polski wplotły boje i bohaterstwo Legionów. Jerzy Nowakowski.

## Pomnik Kościuszki w Sosnowcu.

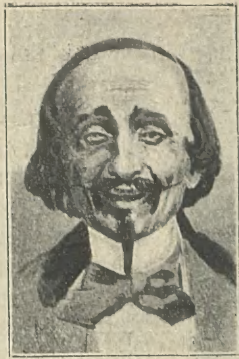


Uroczystość poświęcenia pomnika 15 paźd.





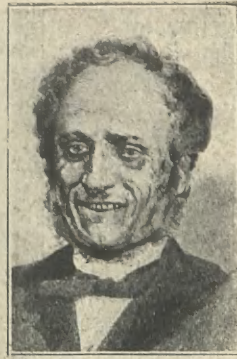
„Złe wiano“.



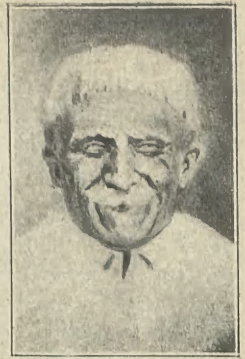
„Emancypantka“.



„Gwóźdź w zamku“.



„Nasi najserdeczniejsi“.



„Pan Jowialski“.

(Sylwety te malował art. mal. M. Kolarbiński.)

# WINCENTY RAPACKI.

## 50-lecie pracy scenicznej.

*Jeden z najznakomitszych i najzasłużeńszych artystów polskich, Wincenty Rapacki, obchodzi za tydzień 50 rocznicę wiernej służby dla teatru polskiego. Uprosiłmy jego własnego kolegę, ulubienca publiczności warszawskiej, p. Mieczysława Frenkla, by skreślił sylwetę naszego mistrza.*

Istnieją nazwiska, które gdy zostaną wymówione, kojarzą natychmiast wyobraźnię ludzką z jakimś świetnym obrazem przeszłości, lub samym swym dźwiękiem uplastyczniają tę lub inną epokę twórczości danego odłamu społeczeństwa, Ergo: Wincentego Rapackiego.



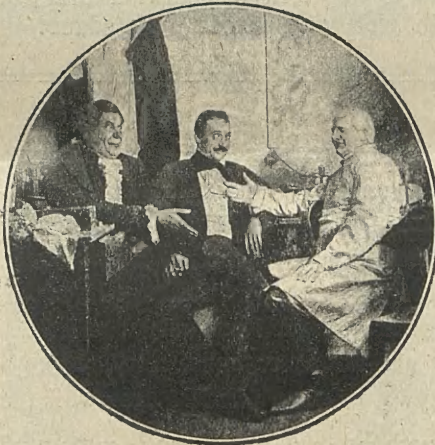
„Wit Stwosz“.

On dzisiaj kojarzy nas jeszcze z okresem chwwały teatru polskiego.

W dniu złotych godów czci godnego Mistrza z ukochaną przezeń sceną, spójrzmy na długi okres Jego przebogatej twórczości artystycznej:

Po ukończeniu realnej szkoły w Płocku wstąpił w r. 1860 do dramatycznej szkoły Rychtera. Dnia 26 stycznia 1861 roku zjawia się na de-

skach scenicznych poraz pierwszy jako „Blesoi“ w „Trzech muskietkach“ Dumasa. Następuje pięcioletnia tułaczka młodego adepta po różnych scenach prowincjonalnych; gra



„Pan Jowialski“, Frenkiel, Wolski i Rapacki w garderobie, podczas antraktu.

we Lwowie, przyjmowany z zapalem „Stare dzieje“ Kraszewskiego, w Krakowie „Dziwadła“ tegoż autora, aż wreszcie w r. 1867 osiada na stałe w Warszawie.

Owemi czasy na scenie warszawskiej panował wszechpotężny melodramat, mający znakomitego przedstawiciela w osobie Jana Królikowskiego. Rapacki w otoczeniu artystów znakomitych ale posłusznych wskazaniom swego mistrza, poczynił uchylać się od zakreślonych przez ówczesnego upodobania reguł.

Stwarzając „Vaulin’a“ w „Safandulach“, „Radziwiła“ w „Panie Kochanku“, „Latkę“ w „Dożywociu“, bystrym okiem indukuje z poszczególnych figur charakterystyczne cechy, łączy je w jedno, tworzy typ, staje się pierwszym realistą na scenie polskiej. Jemu to jedynemu należy do prowadzenie do granic niebywałej doskonałości, po macoszemu wówczas traktowanej, sztukę charakteryzowania się. Gra setki ról, zdobywa sobie sławę coraz głośniejszą, pomnażając ją jeszcze niezapomnianą postacią „Pułkownika“ w „Gnieździe rodzinnem“ Sudermana. Miły Boże! Ileż to razy za mych



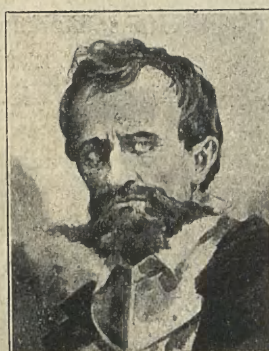
„Mazepa“.



„Opieka wojskowa“.



„Pojedynek szlachečných“.



„Ottello“.



„Skapiec“.

studenckich czasów wystawało się pod kasą teatralną, gniotąc w garści srebrną czterdziestówkę, byle pierwszemu dopaść paradyzu, byle zobaczyć Rapackiego!

Pamiętam, że tłumnie zapelnialiśmy paradyz na „Falszywych poczciwcach“, a jeden z kolegów, medyk, ochrzczony został na pamiątkę wspomnianej kreacji mistrza Vertillaciem, jako że był chudy, wysoki i srodze zezowaty, jak Vertillac Rapackiego.

Czując scenę głęboko, znając nawskroś arkana swej sztuki, mistrz chwycił w dłoń pióro. Wśród ciężkiej, merwowej pracy aktorskiej, powstały sztuki o wysokiej wartości literackiej, jak: „Wit Stwosz“, „Pro honore domus“, „Bogusławski i jego scena“, „Mańko Borkowicz“, „Klonowicz“, „Kopernik“ i inne. Z powieści „Histrjoni“, „Hanza“, „Do światła“ i t. d. i t. d.

Jaskrawym dowodem tragizmu czającego się nieraz w wabnych fałdach zawodu aktorskiego, była premiera „Wita Stwoza“ w 1875 r. Modrzejewska, grająca w sztuce tej główną rolę, w chwil kilka po podniesieniu zasłony, otrzymała list zawie-



W. Rapacki w „Rusałce“ St. Krzywoszewskiego.

rajający wiadomość o śmierci ukochanego jej brata. Z zadziwiającą wytrwałością aż do końca przedstawienia pozostała na scenie i tylko jeden autor sztuki wiedział, czy łzy wielkiej artystki, którą oklaskiwała przejęta do głębi publiczność były udane!

Nie pora teraz na kreślenie szczegółowej biografii mistrza i jego życia. Długą różnobarwną wstęgą rozwija się ono przed okiem słuchacza, gdy Rapacki, sięgając nieraz do bogatej skarbnicy swych wspomnień, rzuci kolegom garstkę wrażeń, przyciągnie czy przeżyje z tej drogi tak ciekawostki a tak przezeń ukochanej...

I zasłuchanemu jawią się postacie Matejki, Siemiradzkiego, Bałuckiego, Kubali, Sewera, Lama — przyjaciół mistrza...

Wielki artysto! Dziś kończy się oto lat pięćdziesiąt, w ciągu których słyszysz wiennie i szlachetnie Twojej sztuce... Poszarpałeś nerwy, lecz stoisz na posterunku z podniesionym czołem, bo jak czystej służyłeś sztuce, tak czyste jest Twoje życie!

Ja, z młodszego idący pokolenia, z czcią i miłością chylę niską głowę przed majestatem Twego talentu i niechaj ta cześć i miłość moja i wszystkich kolegów długie jeszcze lata słodzą Ci tę piękną a tak gorzką nieraz aktorską dolę, osiwiłały mistrzu sceny polskiej, ukochany nauczycielu, najszanowniejszy i zacny kolego!

Mieczysław Frenkiel.

## Teatry warszawskie.

TEATR POLSKI. „Człowiek, który zabił“, sztuka w 4-ach aktach pp. Farrère'a i Frondaie.

P. Frondaie, który przerobił z upoważnienia Farrère'a jedną z najlepszych jego powieści: „L'homme qui assassina“ na scenę, mimo wielkiej zręczności teatralnej, nie uniknął niebezpieczeństwa, grożącego zawsze tego rodzaju pracom. Inną jest koncepcja twórcy powieściowa, zgoła inną — dramatyczna. W przeróbce scenicznej niepodobieństwem jest zachowanie tych wartości artystycznych, jakie są owocem talentu powieściopisarskiego. Bieg akcji musi stracić subtelność, rysunek poszczególnych postaci musi stać się bardziej powierzchownym. Żadna tego rodzaju przeróbka nie zadowoli w zupełności wielbicieli talentu powieściopisarskiego, nie zatrzyma wrażeń, jakie pozostawiło w pamięci jego dzieło.

Jeśli zapomnieć jednak o pięknej, tkliwej i delikatnym uczuciem prze-

pojonej powieści Farrère'a, to trzeba przyznać, iż melodramat, który wysnuł z niej p. Frondaie, jest utworem scenicznym banalnym i zajmującym. Rozgrywa się w kosmopolitycznym towarzystwie Konstanta/napoła, posiada tło egzotyczne, akcję obfitą i żywą. Osnową sztuki jest walka o dziecko, jaką toczy słaba, nieco płocha, bardzo nieszczęśliwa żona angielskiego aferzysty — z mężem. Owego męża opętała w swych siłach wielkoświatowa awanturka, pragnąca go poślubić. Ojciec wszakże pragnie zatrzymać przy sobie jedynego syna. Chce uzyskać zatem rozwód na swoją korzyść. Dyplomatyczny alfons, któremu w chwili osamotnienia i słabości uległa opuszczona żona, staje się świadomym narzędziem tej

ohydnej intrygi. Jedynym zgoła uczciwym, nieposzlakowanym człowiekiem w tym dramacie jest pułkownik francuski, który kocha się w biednej ofierze. I on to właśnie zabija niegodziewica staje się „palcem Allaha“, który położył kres „pospolitemu skandalowi wschodniemu“, według dość lekceważącego wyrażenia dygnitarza tureckiego.

P. Solski wykazał w wystawieniu sztuki wielką staranność i pomyślność. Zwłaszcza dekoracja w I-ym akcie, przedstawiająca ogród przy willi nad Bosforem, obudziła powszechny zachwyt. Nie mniej pięknie urządzoną była sypialnia w 3-ym akcie. Artysty nowo-zorganizowanej trupy, pod sprawną reżyserią dyrektora, stworzyli całość bardzo składną, zapewniając interesującemu widowisku długi szereg przedstawień. W rolę okrutnego męża wystąpił p. Gasiński, stwierdzając że dla prawdziwego talentu aktorskiego niema dziedzin niedostępnych. Wymienić jeszcze należy pp. Dunin-Osmólską i Dulebiankę, pp. Kochanowicza i Oranowskiego.

S. K.



# Kooperatywa w szkole ludowej.

Z pośród tych, których wymieniają jako kandydatów na ministrów. 507

Walka z analfabetyzmem należy do tych kardynalnych zagadnień, nad którymi czuwa nasz departament oświaty publicznej. Nie brak jest dobrych poczynań w tym kierunku. Ale już dziś znaleźli się uspołecznieni nauczyciele ludowi, którzy chcieliby nie tylko walczyć z analfabetyzmem. Pragną oni wychowywać duszę ludu, chcą budować i budzić wśród klasy tej instynkta gromadzkie. Wiedząc, jak wielką doniosłość ma ta kwestia dla przyszłości naszej gospodarczej i politycznej, starają się już teraz wśród uczniów swoich szczeplić nowe formy egzystencji.

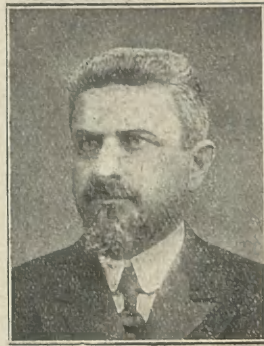
Dotychczas chłop polski przyzwyczajony był do pośrednictwa. Nie umiał bezpośrednio stać się dostawcą, kupcem — wszystkie transakcje załatwiał przez małomiasteczkowych pośredników. Pośrednictwo to w skutkach było bardzo niekorzystne dla narodowego naszego stanu posiadania.

P. Adam Koziana, nauczyciel ludowy, wpadł na pomysł, by w wiejskiej szkole zaznajamiano też uczniów z zasadami ruchu spółdzielczego. Rzeczą tę odrazu wprowadził na tory praktyczne: założył ze składek szkolnych spółdzielczy sklepik szkolny. Prowadzenie tej instytucji postawił odrazu racjonalnie. Uczniowie wybierali z pośród siebie zarząd i kierownictwo. W ten sposób dzieci wkładały się od razu do praktycznej znajomości spraw związanych z kooperacją.

Na tę drogę wszedł cały szereg nauczycieli ludowych, uznając wychowawczą doniosłość tego rodzaju popularyzowania zasad spółdzielczych. Obecnie z broszury wydanej przez p. Romana Klugego, dowiadujemy się, że w Mińsku Mazowieckim, Rakowie dzieci prowadziły takie sklepiki spółdzielcze i wywiązywały się z zadania doskonale. P. Roman Kluge przytem napisał swoją broszurę, by pouczyć, w jaki sposób należy kierować dziećmi, zainteresowując ich do spraw kooperacji. Czem może być współdzielczość, wskazuje praca St. Wojciechowskiego i R. Mielczarskiego. Ludzie ci umieli w stosunkowo krótkim czasie zorganizować 1.000 kooperatyw. Założyli centrale w Warszawie. Powstał też Bank.

Wychowawcza rola szkoły ludowej na przyszłym rozwoju spółdzielczości wyciśnie swoje piętno i napewno wpłynie na rozwój kooperatywizmu, co w sferze stosunków społecznych da bezwzględnie pożądane rezultaty. Dźwignąć się bowiem musi gospodarka rolna polska, przystosować do państwowych warunków istnienia. Chłop polski musi się stać wytwórcą i równocześnie bezpośrednim dostawcą swoich towarów. Uspołecznione żywioły polskie prowadzą już pracę, by nauczyć włościanina ogrodnictwa, sadownictwa, pszczelarstwa, gospodarstwa mlecznego i hodowli.

Wprowadzenie kooperatywizmu do szkoły ludowej jest w tym względzie doskonałą wychowawczą metodą. F.



MIKUŁOWSKI-POMORSKI, sprawy wewnętrzne.



ZYGMUNT CHMIELEWSKI, zastępca ministra spraw wewnętrznych.



ANDRZEJ WIERZBICKI, przemysł i handel.



ANTONI WIENIAWSKI, rolnictwo.



JANICKI, zastępca ministra spraw rolniczych.



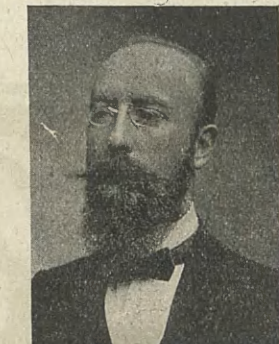
Dr. JÓZEF BRUZIŃSKI, oświata.



ANTONIKACZOROWSKI, praca.



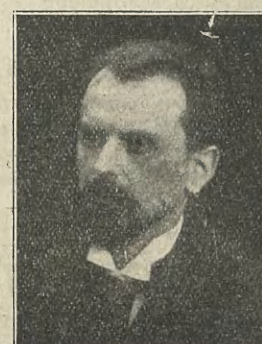
GUSTAW SIMON, zastępca ministra pracy.



JAN STECKI, ewent. minister aprowizacji.



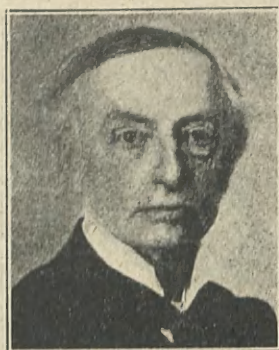
STANISŁAW BUKOWIECKI, sprawiedliwość.



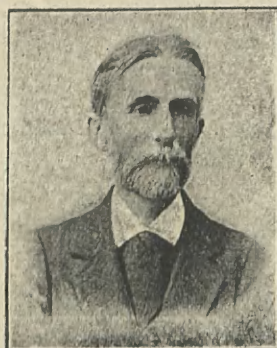
WAŁAW MAKOWSKI, zastępca ministr. spraw.



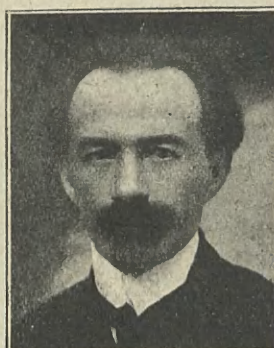
Hr. WOJCIECH ROSTWOROWSKI, dyrektor depart. politycznego.



KAROL GJELLERUP, znakomity poeta i dramaturg duński otrzymał nagrodę Nobla.



Dr. BRONISŁAW CHLEBOWSKI, prezes Tow. Naukowego, przewodniczył zebraniu 10-lecia jubileuszowego



Dr. WŁ. MAZURKIEWICZ, prof. chemji, nowoobraný dziekan wydziału medycznego.



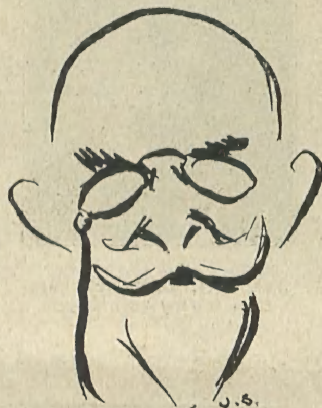
Ogólną uwagę na siebie ściąga oryginalny sposób kwestowania na rzecz Polskiej Macierzy Szkolnej. *Fot. M. Fuks.*

Członkowie Rady Miejskiej m. st. Warszawy w karykaturze.

*Rysował Jerzy Szwejcer.*



L. Szereszewski.



C. Fabiani.



K. Życki.

KAZIMIERZ TETMAJER  
**Notatki literackie**

Cena Mk. 3.—. 15040

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.



**Jungstrom 1/2 Watowe**

*dają dzienne zesrodkowane światło przy dużej oszczędności prądu*

10376

**Bracia Borkowscy**

FABRYKA I SKŁADY ELEKTROTECHNICZNE

WARSZAWA

LÓDŹ

Jerozolimska 56

Piotrkowska 125

Artykuły elektrotechniczne, jako to: lampki, przewodniki, rurki i materiały instalacyjne w wielkim wyborze stale na skł. dzie. 10420

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

**Wacława Perendyka**

SENATORSKA № 8. WARSZAWA. SENATORSKA № 8

dawniej: SZWALBE, ŠACH i S-KA

Wykonywa wszelkie obstalunki. Na składzie wielki wybór materiałów. BURKI PODRÓŻNE. 10434



**Skład Broni**

**J. SOSNOWSKI**

pod firmą

Egz. od 1861 r.

wł. Cz. Lisowski

Warszawa, HOTEL EUROPEJSKI

Poleca bronie kurkowe i bezkurkowe, proch czarny i bezdymny, szrut oraz gotowe naboje ELEY LA CLERMONTE.

WARSZTATY REPARACYJNE NA MIEJSCU. 10429

WYDAWNICTWO Tow. Akc. S. ORGELBRANDA S-ów

**Encyklopedia Handlowa**

2 tomy

15040

Opr. Mk. 50.—.

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 1 grudnia 1917 roku.

Nr 48.

## Wokoło winy i kary.

Nowa polska praca kryminologiczna.

P. Wacław Makowski wydał pierwszy tom oryginalnej pracy „Podstawy Filozofii prawa karnego”, przepelnionej niezmiernie interesującymi i metodycznie ułożonymi faktami historycznymi. Autor jest pozytywistą jako filozof, dokładniej mówiąc: ewolucjonista; opierając się z pewnym przyciskiem o grunt psychologiczny, nie poddając wszakże swej badawczej myśli żadnemu hamującemu działaniu doktrynalnemu, usiłuje p. Makowski wyprowadzić szereg wniosków o dwóch zasadniczych pojęciach kryminologii: przestępstwie i karze, z materiału faktycznego, w wielkiej obfitości nagromadzonego i starannie a bez widocznych uprzedzeń opracowywanego.

Rezultaty, do jakich nasz uczony dochodzi, nie mają też owego pełnego kształtu geometrycznej regularności, tak miłego wszystkim nacjonalistom. Empiryk przekonany, nie odkrywa p. Makowski żadnej „zasady wielkiej”, której ruch dialektyczny stwarzałyby łańcuchy powiązanych z wytwornością logiczną pojęć. Nie poszukuje i nie odnajduje w dziedzinie prawa karnego Tain'owskiej „idée maîtresse”, pojęcia twórczego, któreby w swych logicznych wnętrzościach niesło całe konieczne i z góry ustosunkowane harmonijnie formy. Widzi on życie, rozwijające się mozolnie, uległe przypadkowi, kształtowane w głównych momentach przyczynowo i z niejaką regularnością, ale przybierające mnóstwo form, zależnych od miejsca i momentu.

Poddawszy bystrej analizie pojęcie kary, opartej na długim przeglądzie przeszłości, dochodzi p. Makowski do wniosku, że kara jest *zlepkiem mechanicznym*, w którym niezupełnie do końca przeżyty odwet naszych praocjów wiąże się jeszcze nierozrwalną nicią ze średniowieczną i religijną elementarną przesiąklą ekspiacją, nie dając się, jedno ani drugie, wyrugować do szczętu przez nowoczesną i pozytywną troskę o bezpieczeństwo, ochronę społeczną.

P. Makowski w ten sposób jest najbardziej kompromisowy w swych naukowych poglądach z warszawskich kryminologów, wobec prof. Morgilnickiego, który istotę kary sprowadza w całości do ochrony społecznej, i prof. Rappaporta, który dopuszcza, w mniej jednak stanowczy sposób, i inne elementy do udziału w funkcji kary.

Tom pierwszy pracy p. Makowskiego zawiera dwie odrębne części: „Pierwotne środki obrony społecznej” i „Doświadczenia prawno-karne”. Jest to właściwie tom przygotowany do właściwego przedmiotu autora, bardzo ważny przecież, ponieważ nam odsłania jego metody i zapoznaje z mechaniką jego rozumowania. Tom drugi zawierać będzie zagadnienia winy, odpowiedzialności, psychologii kryminalnej i wreszcie część wskazaniową: politykę kryminalną.

Ale kiedy nasza nauka otrzyma ten tom drugi?

Pewne obawy się tu rodzą. P. Wacław Makowski jest obecnie wicedyrektorem Departamentu Sprawiedliwości. Pracy spadł nań ogrom. Dzieło, które dziś otrzymujemy, jest owocem dawniejszych studjów. Uczonych o równie tegiej myśli, jak autor „Podstaw Filozofii Prawa Karnego”, posiadamy wogóle garść nielką. Jednemu z nich oto państwowość polska zabiera najlepsze lata z życia. Nie będzie to zapewne wypadek odosobniony. I musimy być przygotowani na to, iż rekonstrukcja państwa naszego nie odbędzie się bez ofiar, nieraz dotkliwych.

\*

Nasze piśmo nie może być terenem dla krytyki dzieła tej miary. Prasa zawodowa, która, na szczęście, organizuje się w pewien komplet dla poradzenia całości swych zadań, zajmie się dziełem p. Makowskiego. Ale to dzieło nietylko nauce polskiej, lecz i kulturze polskiej coś przynosi. Nietylko zawodowy kryminolog wstawia je do swej podręcznej biblioteki, ale i każdy wykształcony człowiek przeczyta z korzyścią, często pomieszaną z rozkoszą, jaką daje podróż w nowe światy intelektualne. Bez najmniejszej przeto pretensji do krytyki, podajemy tu o tej pracy garstkę prostych i z konieczności ułamkowych informacji. Z obowiązku aktualności, jaka ciąży na dziennikarzu.

W istocie, człowiek, którego myśl choćby raz uderzona została przez głębokie przekształcenia, jakim ulegały ludzkie społeczeństwa w biegu wieków, niemałe odniesie korzyści, jeżeli spojrzy na odsłaniające mu przez p. Makowskiego zwroty, jakie ze stanowiska kary ludzkość dokonała parokrotnie. Po raz pierwszy, gdy ustrój społeczno-rodowy prze-

chodził w terytorjalno-państwowy, a nowe czynniki przerabiałały instytucje wróżdy i pojednania na kary, wykonywane przez uregulowaną w organach państwowych przemoc. W wieku osiemnastym dochodzą do dojrzałości nowe pojęcia społeczne, a wraz z nimi i będące ich funkcją pojęcia karne, — a dochodzą w naturalny sposób w krajach, gdzie tak zwany wymiar sprawiedliwości zdołał się wznieść na stosunkowo najwyższy stopień: a więc przedewszystkiem we Francji, która w tak zwanych parlamentach posiadała najlepszych zawodowych sędziów i w Anglii, w której od czasu rewolucji 1668 roku prądy liberalne rozwinęły znamienicie udział wolnych żywiołów społeczeństwa w funkcjach, uważanych na kontynencie za bezpodzielną własność rządowych organów. Rewolucja francuska daje kształty przygotowanym pojęciom o woli zbiorowości, o „umowie społecznej“, przygotowując sama pojęcie solidarności, które się tak rozwinię i tyle rozświetli w wieku następnym. Odwet, — ekspiacja — schodzą pod wpływem tych nowych czynników na plan dalszy. Ochrona społeczna, zabezpieczenie spokoju i owocu pracy jednostki, występują na plan główny.

W perspektywie historycznej bardzo wiele faktów, nam znanych ze stanowiska dzisiejszych pojęć, przybiera ciekawą i często niespodziewaną postać. Takich zadziwień czeka czytelnika książka p. Makowskiego mnóstwo. Dla ilustracji jedno z nich tu wybierzemy: Gilotyna wydaje się nam dziś okropnością, — przestępstwem wobec ludzkości dla jednych, smutną po mad miarę koniecznością dla innych. Iluż jednak wykształconych ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że wynalazca tej maszyny śmierci był, doprawdy, dobroczyńcą ludzkości? Jednak wystarczy przeczytać choćby sentencję wyroku śmierci, dokonanego na trzech złodziejaskach we Francji w 1783 r., a więc na sześć lat przed rewolucją, — przytoczoną przez p. Makowskiego, aby ocenić dokonaną przez dr. Guillotina reformę. Otóż ci trzej przestępcy skazani są na to, aby „mieł żywi łamane ramiona, łądzwie i krzyże przez wykonawcę wyroków wysokiej sprawiedliwości, na rusztowaniu, które w tym celu będzie wzniesione w Chaumont na placu publicznym. Późem każdy z nich będzie umieszczony na kole, twarzą zwróconą ku niebu i pozostanie tak, dopóki Bogu się spodoba zachować ich przy życiu“.

Ten wyrok jednak sądowi samemu wydał się zbyt okrutnym. I aby

go zmiekczyć, a jednak pozostawić mu w całości jego walor wychowawczy, odstrasżający, dodano tajną, samemu tylko katowi oznajmioną klauzulę:

„Wymienieni zbrodniarze będą potajemnie uduszeni niezwłocznie po tem, jak każdy z nich otrzyma po trzy ciosy przy życiu“.

Przeczytajmy bezpośrednio potem projekt prawa d-ra Guillotina, który znosi wszystkie tortury i ustanawia odpowiedzialność równą dla wszystkich:

„1) Za jednakowy czyn — jednakowa odpowiedzialność dla wszystkich, niezależnie od stanu, 2) odpowiedzialność wyłącznie osobista bez rozciągania kar hańbiących na rodzinę skazanego, 3) zniesienie konfiskaty majątku skazanego, 4) w każdym wypadku wydanie ciała rodzinie i pogrzeb zwykły, bez oznak i napisów hańbiących“. Wreszcie: „skazany będzie ścięty — ścięcie będzie się odbywało przy pomocy prostego mechanizmu“.

— Tak stanęła gilotyna, — mówi p. Makowski. — Tak też stanęły początki sprawiedliwości nowożytnej, jej podstawy, jej linie wytyczne.

Wraz z tem jednakże stanął i cały szereg nowych problemów, któ-

re wzbudziły nowe niepokoje wokół sprawy winy i kary, o wiele szersze i głębsze niż dawniej. P. Makowski, uczony, obiektywny, pozytywista, empiryk i ewolucjonista, z chłodem zawodowca patrzy na te wszystkie sprawy, nawet budując „Filozofję prawa karnego“. Jakiegokolwiek przecież będą wyniki ostateczne dociekań uczonego na tym gruncie i w świetle takiej metody, można być pewnym, iż „nie podziela one myśli bez reszty“. Pewne konieczności i pewne wysiłki, aby im się nie poddać, wyrywające się z głębi istot żywych i z tła społeczeństw, którym po swojemu dał wyraz De Maistre w swej nieśmiertelnej karcie „o kacie“, po raz pierwszy, jeżeli się nie mylimy, przełożonej na polski język przez p. Makowskiego, będą się i nadal nie równoważyć.

Jaki one przybiorą kształt pod działaniem myśli p. Makowskiego w dziedzinie odpowiedzialności i polityki kryminalnej?

Kto zapoznał się z pierwszym tomem pracy p. Makowskiego, ten, choćby stał na gruncie innych metodycznych i filozoficznych założeń, oczekiwać będzie tomu drugiego „Podstaw Filozofji Prawa Karnego“ z żywą ciekawością.

*Alb. Pawłowski.*

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

## KARYERY.

56

— Monsieur Pawloff! — przedstawiała Irenie Serżą hrabina.

— Czemu nie kazał pan przedstawić się wcześniej? — podkreśliła bardzo lojalnie Irena, bez pensjonarskich miniek dawną niemą znajomość.

— Ja nie śmiał — odrzekł z rosyjską Serż z niezbyt szczerą naiwnością, zaczerwieniony, niewiedomo, czy wskutek zmieszania, czy wskutek wina; najwidoczniej już no bardzo przeciągłem drugim śniadaniu.

— O! Biedactwo! Po co ten bluff? Nie gramy ze sobą w pokiera — rzekła, patrząc mu w oczy ze spojrzeniem, najwidoczniej mówiącym mu:

— Dziękuję. Nie straciłeś nic na poznaniu. Masz miły głos. Nie rozczarowałam się.

— To nie bluff! Żadnej gry z panią grać nie chcę. U mnie natura prosta. Ja nie śmiał zbliżyć się.

— Nie wiedziałam, że oficerowie są tak bojaźliwi. Czy jestem tak

straszną? Bał się pan, że przyśnie ci się w nocy?

Przestał z miejsca być dzieckiem. Usiadł bardzo blisko niej na fotelu i, przechylając się napastniczo i całując ją oczami, wylał słowa, już nie z pierwszych ust przez Irenę słyszane!

— Vous savez, madame: Ja nie raz śnił o was. Jej Bogu. Ale na mój wkus u panj trzy niedostatki: Pani jest zanadto piękna, przytem trop grande dame i za mądra pour une canaille, comme moi. A ja człowiek prosty; przytem pijanica, krugom durak!

— Ah! Non par exemple! To jest z pańskiej strony fishing fort compliments. Podobno pańscy ziemkowie zwykle udają naiwniejszych, niż są w istocie.

— Nie! Jej Bogu! I na żadnym języku wyrazić się porządnie nie umiem! ani na francuskim, ani na polskim. A już najgorzej na ruskim.

Chciałby swoją myśl jasno wyrazić, a wychodzi, czort wie co! Prosto,— czepucha!

— A jednak ten pański volapüek okazał się dostatecznym do zwyczajstw miłosnych. Kobiety cię poj-mowały.

— I żal, że dumały rozumieć taką skatinę! Żal wszystkich! — wpa-trywał się w nią uparcie, pochłonięty nagle jakimś beznadziejnym smutkiem, z którym naprawdę było mu bardzo do twarzy.

Po chwili milczenia spowiadał się ze swoich najskrytszych win — nie pytany:

— Bo widzi pani, u mnie dzieło w tem: serce u mnie dobre, a dusza— podła. Kiedy ja był jeszcze rebionkiem, miał ja białą kotkę angona, którą bardzo lubił. I pewnego dnia, ot tak prosto — wyrzucił ją z drugiego etaża przez okno won na ulicę. Koteczki nogi połamały się. A ja w dietskim pokoju powiesił się z gorą na klamce. I z trudem ocalił się; a kotkę do łóżka brał i kompresy do złamanej jej nogi przykładał. I płakał potem, że kotka trzęsie się ze strachu i ucieka odemnie, bo już nie lubi mnie; bo wie, że padlec! A ja często postępuję z kobietami tak, jak z tą angoną kotką. I nie raz wieszając się z gorą chce. A serce moje bezustannie toskuje, aby żyć daleko w dierewni z ukochaną żoną i z dziećmi. Cóż z tego, kiedy czort pecha do panien Blanchard, do kabaretowych szansonistek i cyrkwówek. I żal mi mojej starej matki, która płacze, bo ona ma tylko serce moje a nie duszę. I żal mi mojej młodości, mojego życia, na które nie warto i plewać!

— Wszyscy Rosjanie zdają się lubować w oczernianiu samych siebie. Znam was z waszej literatury. Posiadacie jakąś pasję wyszukiwania prawdy i nazywania rzeczy po imieniu. Jakąś manierę naturalności.

— Tak. Może to u nas naturalność... A może maniera? Czort zna-je! Bo wot człowiekowi wydaje się, że on prawdę mówi; a on i wtedy jeszcze łże. A może ja i wcale nie lubił mojej białej angonej koszki; a wprost nienawidził za to, że ona wiedziała, iż dusza u mnie podła?

— Vous-avez le vin triste, mon cher monsieur. Voilà.

Wygalonowana służba otworzyła drzwi jadalni, do której poczęły sunąć pary. Serż, skłoniwszy się z przesadą wojskową, podał ramię Irenie.

Pani Gizela wysiliła się, aby o-łsnąć swoich gości. Podług tego jej pomysłu, może w niezbyt świetnym gościu — cała sala z lasem ustawio-

nych, lśniących białą nakryć małych stolików—kapała się w różnokoloro-wym świetle elektrycznych lampek, które w formie szklanych owoców—dekorowały wśród świeżych kwiatów wijącemi się girlandami wszystkie stoły.

— Tiens! Que c'est gentil! — zachwyciała się ze swoją stałą dworską uprzejmością pojętna uczennica hrabiny de Sommerive.

— Prelest! Jak noc Sylwestra w hotelu! — zdecydował złośliwie Serż.

— Teisez-vous! Méchant! — zgromiła go po macierzyńsku. — Mogą usłyszeć.

Siedzieli bardzo blisko siebie przy małym stoliku w jedynym sąsiedztwie przejezdnej z Petersburga do Bukaresztu belgijskiej konsulowej, flirtującej z jakimś publicystą z Londynu.

I Irena naraz uczuła, jak Serż swoim stałym zwyczajem przechyla-nia się w rozmowie prawie ku jej twarzy dotykał kolanami jej kolan tak, że znajdowała się cała, jakby w jego władczych objęciach.

Kładła jego śmiałość na karb szampana. Pomimo swego doświadczenia nie zdecydowała, co bardziej shoking, czy zgromić go, czy uważać za niebyłą tę niemą jego deklarację?

Prowadzili najbanalniejszą rozmowę, racząc się małą kęskami kolejno podawanych przez liczną służbę: filet de soles, chaud-froid z jarząbków, pieczystego z bażantów, zapijając obficie szampanem.

Potykając się pomiędzy stolikami, ze swoim nieodłącznym face à main — honorowała ich hrabina Sylwia, obmawiając po swojemu panią Gizię:

— Ona nie dojrzała jeszcze do prostoty w pomysłach! Ryba z trufkami, pasztet i pieczyste z trufkami! Może jeszcze i lody podadzą z trufkami! — odeszła od ich stolika, żaląc się:

— Nie cierpię robić honorów gospodyni u mnie w swoim domu. Ale trudno!

Splłoszeni jej tnzepotaniem, przez chwilę milczeli, nie zaprzestawszy swej głównej niemej rozmowy — od-daleni o miłą od gwaru świateł, barw i woni — przemienieni doszczętnie w jedno wspólne tytaniczne pragnienie miłości.

— Przyjdzie pani do mnie jutro o godzinie piątej? — zbrutalizował ją naraz słowami dalszego ciągu niemej rozmowy.

Odsunęła się od jego krzesła,

— Czy chce pan zapoznać mnie z panną Blanchard?

— Nu, pozwólcie. Ona nigdy u mnie nie gości; to ja ją tylko odwiedzam. Jej ideałem jest lukratywna synekura. Będzie rada, kiedy do niej nie przyjdę i nie potracę jej tego z miesięcznej pensji. Pani przyjdzie?

— Będziemy mówili teraz o czem innym. Czy wysyła pan w tym sezonie swoje konie do Chantilly?

— K czortu z końmi! — buntował się bardzo zły.

Śród uczujących zapanowało zaciekawienie, spowodowane oryginalnym konceptem silającej się na prostotę gospodyni. Oto służba roznosiła wielkie kosze, płaskie i sztucznie omszone, niby stare koczki, w których na słomie leżały rozłożone kurze jajka; a w nich goście po rozłupaniu nieznacznie złożonych prawdziwych skonupek — znajdowali lody. Po lodach roznoszono owoce, cukierki; wreszcie goście powstali ze swoich miejsc.

Ugrupowali się teraz gwarnemi parami w tłumnie napelnionej, świeżo wentylowanej wielkiej sali balowej, chłodniejszej teraz od jadalni.

— Nu, Pani przyjdzie obejrzyć Lenbacha? — upierał się Serż despotycznie — milczący, zły, flirtem i winem ostatecznie wyczerpany.

— Lenbacha?

— Tak. Ja kupił go w Berlinie w galerji Schultego; zapłacił 30 tysięcy marek. Podobizna Turgenjewa, czy innego czorta.

— Jestem ciekawą przekonać się, czy pan się nie myli.

— Jestem pewny.

— Pewny? Lenbacha, czy mnie?

— Tego, że pani jest ciekawą.

— Pana, czy Lenbacha?

— Jednego i drugiego.

— Być może.

— Tak co będzie?

— Przyjdę... lub nie.

— Nu! Ładno!

— Godzi się pan zarówno na jedno, jak i na drugie?

— Ni jak nie! Pozwólcie! Jakże? Godzę się tylko na jedno.

— Mianowicie?

— ... Że nie będę czekał daremnie — pocałował ją przeciągle w rękę. — Nu, a teraz mnie trzeba skurzyć papieroskę — skłonił się elegancko z oficerską rycerskością i znikł w tłumie, dążąc do fumoiru.

W wielkiej sali uciszyło się. Do fortepianu zasiadł Michałowski. I Irena, rzuciwszy się w fotelu w kącie sąsiedniego małego salonu, wsłuchana w dźwięku Szopena — dumiała o swojej rozpoczętej grze.

Ze znajomością duszy ludzkiej— doszła bardzo łatwo do wniosku, że myliła się co do Serża. To nie jest, jak sądziła — zepsuty, dobry, naiwny chłopiec, który — uszczęśliwiony jej miłością — będzie się w proch tarzał u jej stóp, niby zakochany młodzień- czy paż u kolan królowej.

— Nie; to nie jest wcale naiwny dobry chłopiec! Obie siły są zupeł- nie sobie równe. A jeżeli to on zmia- dży mnie na pył i w przepaść straci?... A więc czy nie lepiej dać za wygrane i abdykować?

Rozejrzała się dokoła. Dźwięki Szopena — tą nadziemską słodyczą irytowały ją. Raził ją zgrzytem ten ideał z innej parafji, z innej planety, spadły jak meteor w błoto zebranego tutaj tłum z jego instynktami i z ukrytą pod suknią balową nizkością uc- zuć i moral insanity.

Mimowolą oko jej padło na sie- dzącego w drugim końcu salonu — Horskiego, o którego istnieniu co- prawda dziś zapomniała.

I drgnęła z najwyższą niechęcią, badając jego starą obwisłą twarz i zaspianą minę, z jaką udawał, że wsłu- chuje się w muzykę, której, wiedzia- ła doskonale, że nie lubi, nie rozumie i nie zna się.

Była przekonana, że troska się w tej chwili jedynie swojemą długi- mi, niezapłaconem komornem i gro- żącą im ruiną, której się boi, jak śmierci.

Podobny zupełnie do starego Dul- skiego z Piwnej ulicy! — zbyła go, powracając do porzuconych myśli, syczących jej w mózgu:

— Mam odchodzić od gry z o- bawy niebezpieczeństwa i abdyko- wać?

— Abdykować! — rzuciła prawie głośno. — Nigdy! Abdykacja — to skwitowanie z niespodzianek życia, to tchórzostwo przed hazardem, to zblazowanie, to słabość! Gorzej ie- szcze! — zdradziła się sama przed sobą, że swojej głównej troski, która od niedawna czała się jadem w jej mózgu. — Abdykacja — to starość! — nazwała swoją zmoreę po raz pierw- szy po imieniu. — Drwię sobie z kol- ców! Kocham go; pragnę... Chcę być szczęśliwą.

W sali otoczony zbitym tłumem wielbicielą ukazał się Frenkiel, ze swoją charakterystyczną od natury maską aktorską, z jakimś niewyda- nym jeszcze manuskryptem w ręku.

Irena przedostała się do pogra- żonego w myślach Horskiego:

— Głowa mnie boli. Jedziemy już do domu.

Wydostali się ukradkiem do hal- lu, w którym odnaleźli służącego, z

okryciamy w rękę, który, okutaw- szy Irenę w jej płaszcz z jasnego je- dwabiu i sobolową etolę — pobiegł wynaleźć śród stojącego przed willą baronowej szeregu ekwipaży — sa- mochód Horskich.

Usadowił ich, zamknął drzwieczki pojazdu i wskoczył na kozioł obok szofera. Samochód ruszył pędem a- leją ku domowi.

— Być albo nie być jutro u nie- go? — uśmiechała się, zmęczona wra- żeniami, z głową, przechyloną mięk- kim ruchem w poduszkach pojazdu — That is the question! Ej! Protopla- sto mój, rozpustny kasztelanicu Kon- radzie! — cynizowała. — Widzę twój uśmiech, z jakim solidaryzujesz z ka- żdą moją awanturą. Czyżby twoja krew jeszcze nie osłabła? Śmiejesz się, stary awanturniku, i drwisz z na- grody Montijona! Czy posłuszna wnuczka powinna podzielać te zapa- trywania?

## XXVII.

Nazajutrz Irena — rzecz prosta — nie poszła na umówioną schadzke.

Jako doświadczony pijak, nie chciała jednym haustem wypić odra- zu całą czarę nektaru. Chciała prze- dłużyc zabawę, ciekawa chodu całej tej gry miłości, jak syty kot, bawią- cy się myszką,

— Cóż on sądził, — cynizowała, — żem żyła dotychczas na wyspie bez- ludnej w długiem oczekiwaniu króle- wicza, spragniona, jak pensjonarka, pierwszej chustki padyszacha? Bie- dactwo! Jest naiwny z całym swo- im demonizmem! To raczej ja mam duszę podłą; nie on.

Lecz faktem, że spać nie mogła.

A całe dni schodziły jej na wy- śmiewaniu jego młodzieńczej naiwno- ści, na zachwytach nad własną trzeź- wością i na najdokładniejszym zdawa- niu sobie sprawy z każdej sytuacji. Lecz kiedy poza utratą snu odbiegł od niej i apetyt, kiedy widziała, że nerwy jej dygocą, jak sprężyny w ze- psutym zegarze, i że przez 24 godzin na dobę nie myśli o niczem, jeno o jego naiwności i o własnem rozumie — zadecydowała:

— A więc faktycznie on nie jest naiwnym dzieciakiem. I on ma swo- ją grę i taktykę: chce mnie przetrzy- mać. Nie myliłam się, że to jest ka- nalja!

Lecz pomimo, że doszła do tego przekonania, nie przestawała myśleć ani o jedną godzinę mniej na dobę o kanalji, niż o dawnym naiwnym dzieciaku. Wreszcie po bardzo dłu- gim tygodniu usłyszała zaczerwienio-

ną po białka oczu ukochany głos je- go przez telefon:

— Czekałem tydzień. Jeżeli panj jutro nie przyjdzie — jej Bogu — spałę Lenbacha.

— Lepiej, aby Lenbach się spa- lił u pana, niż ja.

— Pas de danger, chère madame. Marmury są ogniotrwałe.

— Skąd pan wie?

— Z mineralogji.

— Ach! Pan mówj o marmu- rach!

— Alors! Vous viendrez prendre une tasse de thé chez moi?

— Rzecz postanowiona — spali- ła ni stąd ni z owad mosty poza so- bą. — Nie chcę przyczynić się do wandalizmu wobec sztuki; będę ju- tro u pana Etes-vous content?

— C'est gentil de votre part.

— A bientôt.

— Merci.

— Nie jestem owieczką, którą łada wilk może zdusić — pociesza- ła się po pensjonarsku. — Odwiedziny garsoniery — to jeszcze nie upadek; zależy przecież nietylko od niego, lecz i odemnie.

W następstwach okazało się je- dnak, że nie była z marmuru, lecz z kruchej gliny ludzkiej.

Teraz — od kilku już tygodni od- wiedzała go codziennie. A wszystkie jej złe przeczucia, jak tanie pesymi- styczne proroctwa — spełniły się co do joty.

Miłość ta nietylko, że szczęścia jej nie dała, lecz — wprost przeci- wnie — zwiększała wraz z najbole- śniejszem przykrościami, które tą z nim wiązały — jej ból życia.

I z głowy Ireny nie wychodziła opowieść o białej angorowej kotce, w której cierpieniach Serż tak się lu- bowował.

Czy nienawidził jej, kiedy ją u- dręczał, czy kochał wtedy, kiedy pie- legnował? A ona sama? Czy kocha jego serce, czy też nienawidzi jego duszę? A może kocha właśnie jego podłą duszę?

— Nie wiem, nie wiem, nie wiem... Czuję tylko, że taka miłość jest mę- czarnią.

Wybaczała mu wszystko: i o- pryskliwość i drobiazgową złą sprzeczność, upór, brutalność i złe wychowanie.

Lecz jej pięta Achillesa raniła naj- dotkliwiej tak często spotykaną u wie- lu mężczyzn jego pogarda, jaką czuł dla każdej kobiety, która stała się je- go kochanką.

*Dalszy ciąg nastąpi.*



# Och, mów tak do mnie.

Z cyklu „Serce”.

Och, mów tak do mnie tym dawnym  
imieniem  
dziś, gdy już tylko lan pamiętek żeniem,  
i gdy na moment odzyskał cię znów.

Tyle się ostrych wżarło we mnie kłów  
od tej bolesnej przedostatniej chwili,  
gdyśmy swe serca w fali zatopili.

Żem już niczego nie pomnił prócz mąk.  
Dziś przyleciało twe słowo skrzydlate  
i wyzłociło swym blaskiem mą chatę.

Jako monstrancję wzięłem je do rąk,  
nim się raduję i tajemnie pieszeje,  
nie chcę dziś wiedzieć, że losy złowieszce

każą za radość zapłacić stokrotnie,  
że ból mi piersi jak lancetem potnie  
i że się zbudzi krwawych myśli huk.

Nic to, ty do mnie tak jak dawniej mów,  
do świadomości mej zapamiętania.  
Niechaj przepada cień, co tu się stania,

cień wspomnień dawnych i miłości mar.  
Żyjmy tą jedną, niespodzianą chwilą,  
w której się smutki od nas precz uchyla.

w której przyniosłaś mi bezcenny dar...  
Nic to, że potym krwią opłynę krasną  
i że przedemną wszystkie światła zgasną.

że znowu będą bez czucia, bez wiary,  
wiatrem goniony jako popiół szary,  
że zmierzy we mnie tysiąc żalu łuf.

Nic to, ty do mnie tak jak dawniej mów,  
och, mów tak do mnie mym dawnym  
imieniem,

dziś, gdy już tylko lan pamiętek żeniem.

Leon Chrzanowski.

Stanisław Falkiewicz.

NOWELA.

## Ordynans bojowy.

3

Parkiem dworskim, kędy błdzi-  
li wczesnym wieczorem, targał wi-  
cher, przewalając po niebie bryły  
chmur ciężkich. Połowa liści legła  
już u stóp starych drzew. Wiatr ni-  
mi miotał, z alei w aleję ciskał. Chwi-  
łami kładł się zmęczony na ziemi i  
jak pies warował.

Błdzili zamieszonymi kurzawą li-  
ści ścieżkami i pożółkłymi trawnika-  
mi. Liści lecących wichura, kroków  
szelest i gąszi szept niosły się po du-  
żym parku Strykowickim.

Poprzez czarne nagie pręty i ga-  
łęzie błyszcząco światło w oknach,  
gdzie stanął Komendant ze sztabem.

— Niedaleko Dęblin. Prusacy już  
się biją. Słychać czasem dudnienie  
armat.

— Komendant dziś mówił, że nie-  
długo w bitwę i my wpadniemy wiel-  
ką... — wtajemniczał Stasiak brata.

Późna już jesień. Dalekie, dro-  
gie ogrody i pola otoczyły ich krę-  
giem. Wychyliły się z półmroku twa-  
rze najdroższe, słowa, łzy i błogo-  
sławieństwem matczyne. Szli, a wicher  
wraz z wonią wędnącej trawy i  
schnących liści nanosił wspomnienia.  
Żal niewytłomaczony — czy dni, czy  
zdarzeń, czy przecucie i lęk — ści-  
snął piersi.

Brat streszczał epizod z wypra-  
wy patrolu Słomki, który ze Szczu-

ciną aż pod Połaniec w połowie wrze-  
śnia doszedł, języka o naciągającej  
kawaleryjskiej mawale zaciągnął i na  
małe oddziały rozsypany, przebiegał  
się wśród starców z dragonami i kozaka-  
mi ku Wiśle.

— Wpadliśmy do wsi jednej pod  
Połaniec we trzech. Józika z prze-  
strzelonym udem ledwie donieśliśmy.  
Chłopstwo przywitało nas z dziką i  
ponurą niechęcią. Drogą najbliższej do  
Wisły nikt nie znał — choć rzeka  
tam blisko, niecałe dwie mile. Chłop  
jeden nas przestrzegał, że kozunie  
się kręcą i że niebezpiecznie się za-  
trzymywać dłużej.

— Djabeł nie śpi, a niejedni go  
za pieniądze gotów naprowadzić i  
wydać. Ten zaprzędany — pokazał  
czarnego chłopca.

Drzwi mocno zapaniśmy skrzy-  
nią. Antek przy oknie stanął, a ja  
Józikowi ranę jodyną zalewam i ban-  
dażuję. Ledwie opatrunkiem założyłem,  
daje znać brat, że się zbliżają. Pa-  
trzę: cha, Chryste Panie — chłop  
czarny ich wiedzie. Pluton drago-  
nów. Starszy z chłopem mówi, pie-  
niądze odlicza. Ładunków my mieli  
ledwie po kilkanaście.

— Starszego Antek bier!

Huknęliśmy naraz. Starszy jeich  
z konia zleciał i chłop czarny w tej  
samej chwili na ziemię runął. Rozsy-

899  
pał się migiem po polu, z koni zsie-  
dli i w naszą chałupę prażyć zaczęli.  
Co który jednak wychylił głowę z za-  
naci kartoilanych, kulę brał i jak za-  
klęty milczał. Od Józika naboje  
wszystkie wzięliśmy. Pod noc, gdy  
zmiarkowali, że nie poredzą, ognia  
zaprzestali i odjechali. Wyszliśmy z  
chałupy, Józika na wóz zarekwiro-  
wany wsadzili i ku rzece. Patrol był,  
jak się patrzy...

Włóczyli się po miasteczku, gry-  
ząc landrynki i kurząc papierosy.  
Brdne potwornie, żydowskie uliczki  
i zabłocony rynek w świetle po-  
chmurnego dnia raziły oczy szpetotą.  
Ale zawsze miasto, nie wieś, jakich  
setki w marszu minęli. Komendy róż-  
ne po domach austriackie, ordynansi  
nasi na zmydlonych koniach, samo-  
chody błotem bryzgające i żydow-  
stwa zastraszonego grupy. Kolumny  
przechodziły szosą, z pod Kraśnika  
i Puław dążąc na zachód w stronę  
Radomia.

Zawędrowali przed kościółek nie-  
duży, skromny, wieńcem lip ocienio-  
ny. Przed drzwiami sanitariuszy  
spotkali niemieckich. Na progu ude-  
rzyła w nich fala niespodzianie woń  
stęchlizny, potu i karbolu. Popatrzyli  
zmrużonymi oczami w mroczną na-  
wę. Groza gardła ścisnęła. Kościół  
cały, wysłany stłoczoną słomą, co nie-  
regularnymi, stłamszonymi falami  
wleiskała się w boczne kapliczki. Tam  
i sam wystęczały z głębi ręce lub  
głowa szmatą brudną obandażowana,  
plama szynela lub butów. Pod chó-  
rem lekarze niemieccy w rękawicach  
gumowych dokonywali operacji na  
dwóch jeńcach. Pomagał i tłoma-  
czył doktor rosyjski, w niewolę poj-  
many.

Cichy, zmęczony jęk leciał na  
kościół z bezkształtnej bryły ciała o-  
palonego, zbryzganego krwią na sto-  
le operacyjnym.

Zaszli do bocznej kapliczki.  
Wiódł ich sierżant, czegoś szukając.  
Stanęli, a że ściany koło małego o-  
kratowanego okna pochyliły się nad  
nimi i nad nędzą kościółka popiersie  
dostojne w kontuszu. Twarz senator-  
ska, zadumana, powleczone, oczy duże,  
pogodne patrzyły na zawieruchę, ja-  
ka światem niewiadomo po raz któ-  
ry zatargała.

— To ten, któregoście, sierżan-  
cie, szukali? — pytał Stasiak.

— Tak. Kochanowski, poeta.

— Kiedy żył?

— Dawno, kiedy najjaśniejsza  
rzeczpospolita dosięgła szczytów po-  
tęgi i szczęścia.

— I warto było po to tu wcho-  
dzić?

— Odwiedziliśmy wielkiego człowieka. Choć obcy on nam i jego świat. Ani my jego rozumnej pogody, ani on nas nie rozumie. Dalekie my dwa światy... — medytował głośno sierżant, (Profesorkiem zwany, którego z zasłużonych wywieczasów wakacyjnych porwała fala wojenna.

Ostatnia noc.

W wioszczyntie schludnej, wśród boru na piachach radomskich schowanej. Sosny wciśkały się do ogródów i sadów, niejedno gontowy dach ocieniały i w niejedno zaglądały okno w milczeniu. Zapach żywiczny wszystkich szparami wnikał w gładkie jasne izby. I woń jabłek czerwonych, niedawno w komory zniesionych.

Pochmurną czarną noc wichry po polach rwały, chłoszcząc i pędząc bezlitośnie. Szum wiech i pnj smukłych trzask splywały falami po wierchołkach lasu. Zła jesienna noc wchłonięła i zatopiła dobre, ciepłe domki śródleśne.

Marcelle Capy.

## Głos kobiety wśród walk.

„Une voix de femme dans la mêlée“ dotarł w tryumfalnym pochodzie aż do rowów strzeleckich i do wdowich poddaszy. Książka pani M. Capy pstrzy się od luk cenzuralnych, które nie mniej rzeźbiście pobieliły także przedmowę Romain Rollanda. Duch francuski, zatapiający się jednostronną zaciekłością w polityczne problemy wojny, z równą siłą umiał zareagować na jej potworność i obok dzieł Rosny'ego i Barbussé'a słyszymy kobiece wołanie tkliwe a przejmujące. Romain Rolland w przedmowie swojej wytuskał wszystko najistotniejsze z książki p. Capy. Ktoś, chciwy poznania dokumentów epoki, przerzuciwszy dzieła Loti'ego, France'a i tylu innych, dyszących namiętnością wojny, z uczuciem nowem przysłucha się głosowi p. M. Capy. Można by powiedzieć jej własnymi słowami: „C'est instinct qui crie“.

Tyle biedy i tyle też nazbierało się, że pisarce jakby nie stało odwagi na upiększenie dzieła rafinowanym słowem, skomplikowanym tłem. Pozostały tylko słowa, wyrzucone ze ściśniętego gardła, półokrzyki i półjęki, w których jest cała nieumniejszona prawda wojny, gorycz nieszczęścia i pustka osamotnienia. Dlatego głos ten brzmieć będzie długo i szeroko.

Oddawna nie zaznał żołnierz takiej dobroci przytulnej ścian woniących, pułapów belami podpartych, zydlów i stołów przezczystych. I świętość dla oczu i krwi: ogień szczerobliwością i łaską buzujący na kominie. Ludzie dokoła milezący, mrokiem sosen spowici, lecz o oczach przejasných i twarzach, o jakich mówi ewangelje. Duszę zawierzyć można było i wszystkim uciechę, jaka w ten ostatni wieczór się pojawiła, w ręce dobre złożyć i na złe czasy ostatewić.

Milkły zwolna śpiewki żołnierskie po kwaterach i harmonik tony gasły światła po izbach.

Stasiek usnąć nie mógł. Leżał koło Profesorka, który przy świecy notował coś pilnie w pamiętniku. Fale sosnowe raz wraz z poszumem i trzaskiem uderzały o dach i ściany. Choć izba była zamknięta, świeca chybotwała we wszystkie strony.

Dalszy ciąg nastąpi.

Przekład M. R.-r.

### Przedmowa R. Rollanda do książki p. Capy.

Kobieta litościwa, która odważnie nie ukrywa swych uczuć.

— która nie chce wcielić swego głosu w chór zbrodniczych namiętności, kobieta prawdziwie francuska, lecz nie na „modłę Corneille'a“? — Jakże ulga!

Radłbym nie urazić niczem biednych, starganych dusz. Rozumiem wszystką boleść i stłumioną czulość, kryjące się u tysięcy kobiet pod puklerzem rozpaczliwego uporu. Prostują się sztywnie, aby nie uledez. Chodzą, mówią, uśmiechają się — lecz łoną ich są rozdarte i serca ociekają krwią.

Od dzieciństwa wypacza nas wychowanie państwowe — za pokarm nam dając kaznodziejski ideał, zgrabnie wykrojony z płatów wielkiej, starożytnej myśli, rozplamiony genjuszem Corneille'a i chwałą Rewolucji. Ideał, który tak hojnie poświęca jednostkę państwowości.

Dla umysłów biernych pod taką dyscypliną — życie staje się dziwnym i nieludzkim syllogizmem — o mrocznych przesłankach, lecz miubłaganym kierunku. Każdy z nas, przez pewien okres czasu, był łupem

takiego stanu rzeczy. Trzeba walk zaciekłych, by uratować siebie z pod tej drugiej natury, zagłuszającej własnością. (Znam to lepiej, niż ktokolwiek inny). I dzieje tych walk — są dziejami buntu. Szczerściem, obecna wojna — więcej niż wojna, skurcz ludzkości, położy kres wahaniom, rozwieje wątpliwości i wpłynie na nasz wybór.

Pani Marcelle Capy wybrała. Siła książki leży w tem, że po przez ów „Głos kobiety wśród walk“ — przebijają się, pozbawiony sofizmatów, ideologii i retoryki, prosty, zdrowy rozsądek francuski. Ten swobodny kąt widzenia, żywy, tkliwy, niezawodny, czuły jest niezmiernie na wszelką niedolę — jak i na wszelką śmieszność.

W obłędnej epopei, w której ścierają się ludy Europy, nie brak niczego: czyny bohaterskie i zbrodnie; wzniosłe przywiązanie i ohydny interes, bohaterzy i błazni. I jeśli śmiech wśród ciężkich doświadczeń nie jest niegodnym, a jest prawdziwie francuskim, o ile większą zyskuje wartość, stając się bronią gnębiętego, zdrowego rozsądku i mścicielem obłudy... Obłuda — nigdy jeszcze nie była tak obfita i straszna, jak za dni naszych, kiedy we wszystkich krajach kryje się pod maską siły. Występki — mówią — hold składa onocie. Pięknie — lecz nadużywa jej. Podziwu godna komedia, w której niskie instynkty, ordynarna chciwość i zemsta chronią się pod uświęcony płaszczyk ojczyzny! Ci Tartuffowie bohaterstwa, wspomniałomyślnie oddający na całopalenie... innych, i ci biedni, oszukani, wydani na łup Argon'owie, radzi zniszczyć tych, którzy w ich obronie stają i światła chcą im udzielić. Co za widowisko, godnie Moliere'a lub Ben Jonsona! — Książka pani Marcelle Capy roztacza przed nami bogaty zbiór tych odwiecznych typów, które w naszej dobie mnożą się, jak na zbutwiałym drzewie — niezbadanych odmian — gnzyby jadowite. Lecz na starych, stoczonych pniach rodzą się zielone pędy i czuje się, że serce borów Francji jest zdrowe — nie tknie go trucizna.

Zaufajcie przyjaciele, którzy kochacie Francję; wiedźcie, że najprawdziwszy hold jej złożycie, zachowując zdrowy rozsądek, dobroduszość i ironję. Niech głos tej serdecznej i dzielnej książki będzie przykładem i przewodnikiem! Sądźcie sami i słuchajcie odruchów serca. Nie silcie się na wielkie słowa.

Zaufajcie! Wszystką wściekłość świata nie zagłuszy okrzyku wiary i

nadziej jedynie wolnego sumienia, śpiewu galijskiego skowronka, który wzbija się pod niebiosa.

21 marca 1916 r.

*Romain Rolland.*

## KTÓRZY WALCZA...

Nie jesteśmy dziećmi, nie kołyszcie nas cudownymi bajdami. Mimo wszelkie wysiłki naszych „bohaterów za frontem”, wiemy, że wojna, to nie zabawa. Wiemy, że każdej dnia godziny dzieją się tragedie na pobojuwisku, że gwiżdżą kule i pękają granaty na czyjaś zgubę. Wiemy, ale i czujemy całym czuciem naszym, że to naszy bracia, którzy cierpią. Jednocześnie się z nimi w ich mece?

Dlaczego milczymy? Jak dobrze zwierzyć swą skargę, jak ukojnie wesprzeć się na dłoni przyjaznej! Wszystkich nas ściga zła dola, nad wszystkim rozszalała się tragiczna zawierucha. Wspólność w dźwiganii utraconej przyniosłaby ulgę.

— Kto nie cierpiał, nie rozumie, czym jest serdeczne współczucie. Niestety! poczucie braterstwa odnajdujemy tylko w pogardzie. Murem oddzielają się od ofiar wojny. Doszliśmy do tego, że obojętnie patrzy się na codzienne poświęcenie milionów ludzi.

Dość tego sztucznego bohaterstwa! Pozwólcie wesprzeć przyjaznym słowem wszystkich bliskich rozpaczy. Pozwólcie powiedzieć tym wszystkim, którzy się gną pod ciężarem udręki na froncie czy poza frontem, że dzielimy ich biedę i że masza współczująca myśl ku nim bieży.

— Ci, którzy szczęśliwym dla siebie trafem zagarnęli władzę nad opinią społeczeństwa, usiłują przedstawić siebie jako najdzielniejszych wśród dzielnych i wyobrażają sobie, że naród trzeba spoić iluzjami. Ciężko skrzywdzili prawdę. Próżny wysiłek, daremnie wyteżamy wzrok... Hymny rozgłośne zaintonowali...

## ZIEMIA RODZINNA.

— Pociąg pośpieszny rusza, zostawia za sobą czarny dworzec, wtacza się na równinę, rozciągając się w długi łańcuch wagonów, zapchanych podróżnymi.

Południe. Pod żarem słonecznym drga powietrze — blask razi oczy. W przedziałach duszno. Zapuszcza się story u okien. Na ciemnym płótnie iznaczy się biała plama: „południe”. Dysząca maszyna i koła podskakujące na szynach zdają się

powtarzać to magiczne słowo: południe, południe. Pakunki są porzucone i poukładane w korytarzach. Każdy siada — gdzie może. Ten usiadł na kuferku, ów na małym koszyku. Jakiś żołnierz ustępuje miejsca kobiecie, sam przykucnął na podłodze. Po tych pierwszych przygotowaniach do podróży — poczynają się rozmowy. Rozmowy przyjazne. W miarę rozpędzania się pociągu, stają się powszechne. Padają pytania. Nie znali się przed godziną, nie spotkali się nigdy — a teraz w długiej podróży uważają się niemal za rodzinę.

Mijamy winnice w krasie purpurowych liści, dostrzega się ogromne grona, zwisające z gałęzi w ciężkich kitach, sylwety topol, prostych jak świeczki. Spokój, milczenie, odrętwienie przyrody pod żarem słońca: południe!

Prawie wyłącznie żołnierze wypełniają pociąg. Przeważają rekonwalescenci, którzy na konie kuracji udają się do domu. Większość stanowią pracownicy z winnic; z lekkim patosem, barwnie rozpowiadają o walkach, w których brali udział. Opowiadanie ich ma w sobie coś z zapachu pól. Ten był ranny w łopatkę, drugi w ramię, trzeci w bok, czwarty w głowę. Jednego trafiła kula w bitwie nad Marną, innego na zachodzie, inny znów nie pamięta dokładnie miejsca, mówi tylko:

— Tam w górze!

I ramieniem wykonywa nieokreślony ruch ku północy.

Mają wszyscy szczerą, twarde chłopskie twarze, ręce ich, spragnione ruchu, zakreślają jakieś szalone gesty.

Chudy i blade piechur, który wśród rozmownych sąsiadów nie odzywał się ze swego kąta, wzdycha nagle, jak gdyby ożywiony przyplwem świeżych sił:

— Podnieście story, mówi, chce spojrzeć.

Stora skręca się i w ramach okna jawią się promienne obrazy. Winnice, ciągle winnice, gdzieśgdzie czerwone dachy osad. Z purpurowego gąszczy winnic wylania się ementarz, ocieniony cyprysami. Lecz nawet ten szmat ziemi, ofiarowany śmierci — zatrać! smutek w blasku południa. Z pól, rozpalonych słońcem, płynie taka ożywcza fala zdrowia i siły, że piechur uśmiecha się i krew zabarwia mu policzki.

Jeść mi się chce, mówi.

Towarzysz jego woła radośnie:

— Nareszcie!

I dobywając prowianty, wyjaśnia zaciekawionym podróżnym, że chory od dwunastu godzin nic nie jadł.

Nie pora teraz na śmierć.

Kraje chleb, zimne mięso, podaje butelkę, w której wino mieni się barwami topazu. Chory zajada chciwie, pijała porządnie winem i w szczęśliwym uśmiechu rozchyła wargi. Starczyło powiewu z pól rodzinnych i promiennych obrazów ojczyzny, by chęć do życia wstąpiła w biedaka.

Taka przemiana dokonywa się u wszystkich. Pociąg mknie, a rekonwalescenci rozprawiają z zapalem, rozbawieni, jak dzieciaki. Zapominają o okrucieństwach wojny. Prężą się mięśnie. Pod wyszarzającym mundurem swobodnie oddychają piersi.

Południe! Słońce, winnice, promienne niebo. Bezgraniczna radość unosi się nad rolą.

Wita ich ziemia rodzinna.

## PRZED ODJAZDEM.

Zwolna zapada szara noc. Zdałoby się, że deszcz popiołu spływa na miasto. Zapalają się płomyki gazu, rozjaśniają okna. Księżyc wschodzi.

Umilkły gwary na wielkim placu, gdzie olbrzymia sylweta katedry niętrzy się na tle nieba swemi smukłymi wieżyczkami.

Piękną jest cisza, pięknie splatają się linie, piękna jest noc.

W pobliskim ogrodzie śniły się już barwy kwiatów, pszczoły nie krąży już wokół kielichów. Słodka woń heliotropu unosi się upojna.

Na ławce dwie osoby. Żołnierz i kobieta. Nie można rozeznać rysów, tylko w rozchylnych uśmiechem ustach kobiety połyskują zęby.

Nic nie słychać. Rozmawiają? Miłczą? Przytuleni, ze splecionymi dłońmi, zapatrzeni w siebie, zapomnieli o całym świecie.

Żołnierz odjedzie jutro, lub pojutrze. Jest gotów do drogi. Lecz przedtem przeżywa swą miłość, marząc z kochanką w wieczór jesienny, w ogrodzie — wśród woni heliotropów.

Od tej pary od wysmukłej katedry wybiega w bezmiar przestrzeni przemożne ludzkie pragnienie, które było i będzie żyć, trwać w życiu i pozostawi po sobie pomnik lub serce, gdzieby wyrity był ślad naszego bytowania.

Zawsze najgłębszy, pogański instykt życia nakazuje ludzkości przedłużania istnienia poprzez kataklizmy i poprzez wieki.



